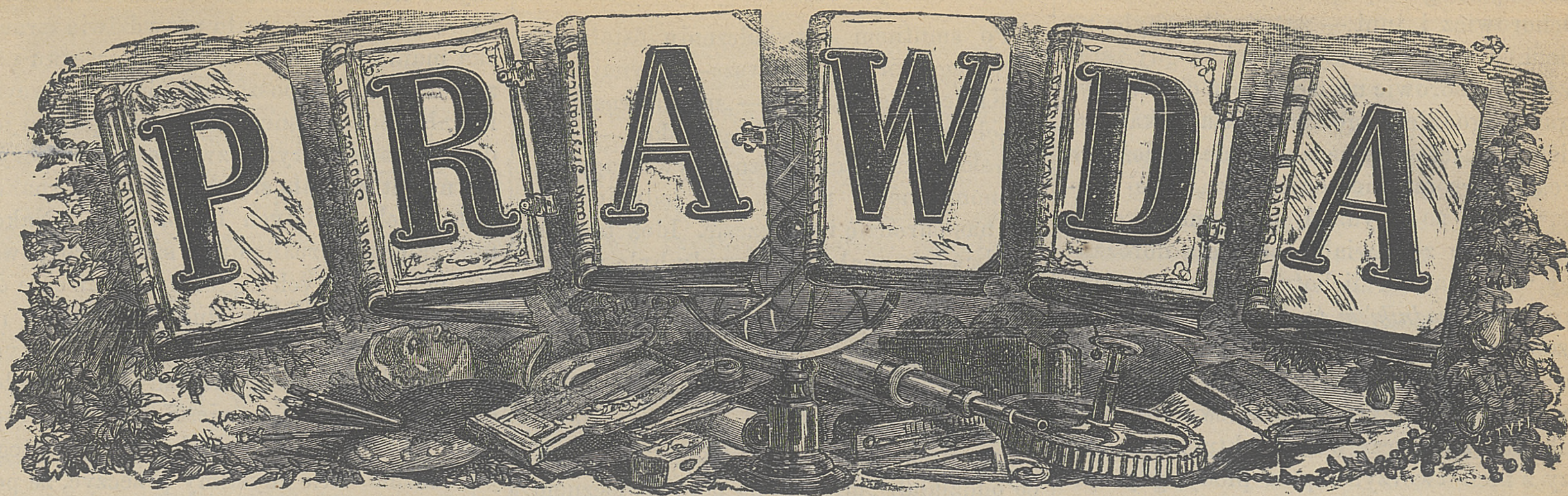
31.

Warszawa, dnia 30 (18) Lipca 1881 r. Rok I



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

ATAK LEKKIEJ KAWALERYI.

Książka p. Chmielowskiego o literaturze polskiej z ostatnich lat szesnastu — dała w obozie zachowawczym hasło do ataku nietylko na autora, ale i na całą „partyę“ postępową u nas. Wzięły w nim udział różne siły umysłowe: zarówno poważni zapaśnicy konserwatywnej chorągwi, jak i weseli chłopcy, którzy biegną przed każdą armią, a podrzucając w górę nogami i łapiąc swoje własne chodaki, sądzą, że składają dowody wielkiego męstwa. O tej awangardzie konserwatyzmu pomówimy później; naprzód zajmiemy się jego drużyną poważniejszą.

Gdy przed kilkunastu laty zawrzała w naszej prasie walka między zastępem „młodych“ a „starych,“ najgłówniejszą i najskuteczniejszą bronią ostatnich był zarzut, że pierwsi wraz z ich niedostatkami sponiewierali zasługi, że nie zdołali utrzymać się w granicach sprawiedliwości, że nadewszystko uprawiali szykanę osobistą, a niekiedy posuwali się do paszkwilu. W zarzucie tym było wiele przesady, umyślnie spotęgowanej dla obrony zagrożonych swoich stanowisk i moralnego obezwładnienia napaści, było wiele niepamięci o paszkwilach i szykanach, spotwarzających stronę przeciwną i usprawiedliwiających jej namiętność; dziś jednak oceniając minione wypadki chłodno, przyznać musimy, że walkę wypowiedzieli młodzi i że ją czasem prowadzili zbyt okrutnie, ze zbytecznem dla pewnych „starych“ lekceważeniem. Mówimy: dla pewnych, gdyż cokolwiek wówczas i dziś oskarżyciele postępowego ruchu mówią o literackiem krwiożerstwie jego apostołów, nie ulega wątpliwości, że ono objawiało się w postępowym obozie tylko względem kilku redaktorów i kilkunastu literatów warszawskich, którzy nie stanowili ani większości grona „starych,“ ani najpoważniejszego odłamu. Moglibyśmy tu wyliczyć długi szereg pisarzów zachowawczych, którzy najzupełniej stali poza placem walki i których „młodzi“ nie traktowali lekceważąco. Zwrócimy tylko uwagę na tak gorąco katolickiego autora, jakim był Bartoszewicz lub Tyszyński, na tak zacnego konserwatystę, jakim z dziennikarzów jest Jenike, których postępowcy szanowali pomimo niezgody w zasadach, że już pominiemy Kraszewskiego, Supińskiego, Lenartowicza i t. d. P. p. Szymanowski, Lewestam, Korotyński, Szczerbowicz—Wieczór i inni, głównie przez młodą prasę ostrzeliwani, nie stanowili ani całości, ani czoła armii konserwatywnej. Od lat kilku ostre wycieczki nawet przeciw nim w poważniejszem kole liberalnem umilkły, gdy nagle dziełko p. Chmielowskiego dało powód do wojny. Tym razem jednak wypowiedziały ją pisma konserwatywne i użyły akurat tej samej taktyki, którą niegdyś krzykliwie zniesławiały w szeregach postępowych. Lekceważenie, tak ganione w przeciwnikach, same podniosły do obelgi, surowość— do potwarzy, a osobistość polemiki — do paszkwilu. Nie przeczymy, że tą robotą zajął się szary koniec zachowawczego szeregu, ale ostatecznie wystąpił pod jego znamieniem. Od pewnego czasu spotykamy w gazetach, zdobiących się trójkolorową kokardą godności, przyzwoitości i sprawiedliwości, tak lekkomyślne, brutalne i krzywdzące wykrzyki, jakich nie spotykaliśmy w najnamiętniejszych uniesieniach „prasy młodej.“ Polemika zamieniła się na łobuzeryę literacką, na wyprzedaż po zniżonej cenie bredni młokosowatych, na wycieranie sobie paskudnych ust nazwiskami ludzi, którzy co najmniej powinni być wolni od napaści baszybuzuków gazeciarskich. Koniki boże, rozbrykawszy się, zapomniały nawet o ściśle przestrzeganym i zalecanym przez konserwatystów sakramencie użyteczności publicznej, i kopały człowieka, który ma zadośćuczynić jednej z najważniejszych potrzeb naszego narodu. Gdy młoda prasa ogłaszała nadużycia księży, karcono ją argumetem, że podobne wystąpienia, osłabiające katolicyzm, są w „naszem położeniu“ niegodziwe; godziwem za to jest teraz nie surowe sądzenie, ale szykanowanie i spotwarzanie jednomyślnie wybranego kandydata do katedry historyi literatury polskiej, po dziesięcioletniem jej w uniwersytecie opróżnieniu. Tu nie pytano się o „nasze położenie.“ Poważnemu badaczowi odmówiono wiedzy, doktorowi filozofii — znajomości elementarnej logiki, a polakowi — przywiązania do kraju. Z zuchwałą bezczelnością zadenuncyowano go podwójnie: przed władzą i przed społeczeństwem. Bo i cóż to byłby za profesor literatury polskiej wobec pierwszej, jeśli nie zna logiki i literatury, a wobec drugiej — jeśli *dla tego* zganił powieść Sienkiewicza, że jej treść z *naszych* dziejów poczerpnięta? Zaiste, ani do takich potwarzy, ani do takiego nieobywatelstwa nie posunęła się nigdy „młoda prasa“ nawet względem tych, których najbardziej prześladowała.

Jak widzimy zatem, odnowienie walki nie przyniosło swojąa taktyką zaszczytu pismom konserwatywnym, i to tak dalece, że jedno z nich widocznie spostrzegłszy błąd, przerwało swój w tym kierunku wymierzony i nierostropnie zuchowaty artykuł.

Przepatrzmy teraz wytoczone przeciw żywiołom postępowym dowody. Odmówiono im uzdolnień. Radzibyśmy wiedzieć, jakie to siły dostarczają dziś społeczeństwu najżywotniejszego pokarmu. Pomijając pi-

sma liberalne, główne gwiazdy nieba konserwatywnego: p. p. Prus, Sienkiewicz, Ochorowicz i inni — zaświeciły chyba na niem od strony „prasy młodej;“ a gdy „starzy“ profesorowie uniwersytetu chcieli wybrać najgodniejszego kandydata na katedrę historyi literatury polskiej, nie znaleźli go wcale w gromadzie geniuszów „starej prasy,“ mimo że arcydzieł p. Szymanowskiego nikt nie zestawiał z taksą dla dorożkarzy,“ tak jak on lichoty postępowe zestawia z *Przewodnikiem po Warszawie.* Twierdzenie zaś, że wspomnieni autorowie rozwinęli swe talenty dopiero po zmianie sfery, ma tyleż racyi, co przeciwne — że je osłabili, zwłaszcza wobec faktu, że niektórzy z nich tworzyli lepsze płody, gdy byli poza tą sferą, lub marnieją od chwili, gdy ona im prawo do nieśmiertelności puściła w wieczystą i chwilowo jedynie intratną dzierżawę.

Gdyby wierzyć dzisiejszym aktom oskarżenia, należałoby przypuszczać, że postępowcy nasi nie narodzili się „ani z soli, ani z roli, ani z tego, co nas boli;“ że nie wnieśli do społeczeństwa żadnych nowych idei, nie stworzyli żadnego, na istotnych potrzebach narodu opartego stronnictwa, lecz garstkę drapieżnych korsarzów, których jedynym celem było zrabowanie ciężko zapracowanej sławy „starych.“ Zaiste, gdyby szło tylko o zdarcie papierowych koron z kilkunastu literatów warszawskich, szkoda byłoby fatygi, hałasu, walki, ran odniesionych i zadanych. Mimo wszakże, iż dzisiejsi komentatorowie owego ruchu pragną znaczenie postępowej literatury z ostatniego lat dziesiątka sprowadzić do plagi, spadłej na pp. Szymanowskich, Lewestamów i Korotyńskich, sądzimy, że ona miała daleko poważniejszy podkład, że szczepiła ideje, które w owym czasie nie przenikały szerzej naszego społeczeństwa, że wreszcie na ogół głęboko oddziałała. Główną osią walki było nie odebranie propinacyi w Olimpie kilku „starym,“ ale wprowadzenie do życia ogólnego, do nauki i sztuki nowych zasad.

Po smutnem doświadczeniu ostatniego zbrojnego porywu, pierwsza—przynajmniej w Królestwie Polskiem—„młoda prasa“ zatknęła narodowi inny drogowskaz, — drogowskaz pracy wewnętrznej, cywilizacyjnej, ekonomicznej i umysłowej, jedynie zdolnej nas odrodzić i wskrzesić. Idea ta stała się dziś komunałem, ale wtedy była nietylko nową, ale nawet zuchwałą. Zuchwałą i nową była również inna, idea łączności i solidarności z ludami wchodzącymi w skład słowiańszczyzny, tętniąca obecnie nawet w tych pismach, które ją dawniej odtrącały z oburzeniem. Niemniej znacząco oddziałali „młodzi“ na polu społecznem. Niekojone pretensye szlachty po uwłaszczeniu włościan odbijały się jedynie w „starej prasie“ echem żałosnej skargi; dopiero „młoda,“ nie tając pewnych wad w przeprowadzeniu reformy, uznała jej użyteczność i powołała ogół do pogodzenia się z tym aktem spóźnionej i nie bezwzględnie pożądanej sprawiedliwości, zwracając jego uwagę na polepszenie doli ludu. Owocem tego było wzmocnienie się prądu demokratycznego, który tak dalece przeniknął do literatury, że większa część jej płodów artystycznych poczerpnęła treść swą z życia ludowego. Być może, iż „młodzi“ nie dokonali wielkich w nauce odkryć; to jednak pewna, że wzbogacili ją szeregiem cennych prac, że spotęgowali do niezwykłych rozmiarów ruch wydawniczy, że wreszcie z nieznaną przedtem stanowczością starali się wyzwolić wiedzę z pod władzy wiary, nadać jej bezwzględną samodzielność, oprzeć na podstawach pozytywnych, że stali się pośrednikami i krzewicielami najnowszej filozofii. Dzięki temu apostolstwu pewne ideje filozoficzne pojawiły się po raz pierwszy w naszej literaturze. Nigdy również nie odezwała się głośniej, jak w organach postępowych, potrzeba bezstronniejszej krytyki naszych dziejów, rozwiania szkodliwych złudzeń i pozbycia się niedorzecznego samochwalstwa, które nas ukoronowało prawdziwie izraelską manią ludu wybranego. Z początku nazywano to „nieposzanowaniem tradycyi“ i „kalaniem własnego gniazda,“ powoli jednak zasada nietylko zwyciężyła w teoryi, ale nawet wcieliła się szczęśliwie w znakomite dzieła młodych historyków. Nakoniec zalecanie realizmu w sztuce, rozpowicie jej z idealnych mgieł i przybliżenie do życia stanowi także zasługę „młodych“ na polu twórczości. Przecisnąwszy się swym głosem do spraw politycznych i społecznych, do nauki, powieści, teatru—wszędzie oddziałali oni w duchu rzeczywistego odrodzenia. Nie myślimy przeczyć, że pobudki do tego wystąpienia kryły się w poprzedniej dobie naszego życia historycznego, że z zapałem krzewione przez „młodych“ ideje zapożyczono od zagranicy, w owej jednak porze były one nowymi i dzielnymi czynnikami postępu.

Surowa nieudolność, która będąc sama bezpłodną, wymaga od zdolności głów jowiszowych, wylęgających Minerwy; próżniacza jałowość, domagająca się od wiedzy samorodztwa, nie uzna i nie oceni tego pasma zasług, ale znajdą się one w rozwoju narodu, a policzy je i uszanuje każdy, kto rozwój ten gruntownie bada. Zapewne, jeśli siły „młodych“ mierzyć będziemy skalą geniuszów, wydadzą się one nam za małe; jeśli zaś na ich działalność spojrzymy tylko ze stanowiska utarczek z nieprzyjaciołmi, przedstawi się ona nam zbyt marną; ale jeśli do dziesięcioletniego ruchu umysłowości naszej przyłożymy miarę zwykłą i ujmiemy go w poważniejszych rysach, otrzymamy znaczny rezultat a łącznie z nim ten pewnik, że żywioł konserwatywny nie wytworzył w tym okresie nawet przybliżonej przeciwwagi. Ani ilościowo, ani jakościowo prace „starych“ nie wyrównywują pracom „młodych.“ Zanim p. Szymanowski pozwoli drwić z 28 rozpraw

---

[1])

ZLI LUDZIE

opowiadanie

JANA LIERA.

Żeby łaskawy czytelnik zrozumiał, z jakich to ważnych powodów walał pan Jandera, swe pięknie wyczyszczone, błyszczące buty, w błocie, na brzegu stawu za Doubrawą, muszę mu zakomunikować tę przyjemną wiadomość, że Doubrawa ma już swoją straż ogniową.

Straż ta liczy siedmnastu statecznych mężów, pomiędzy którymi znajduje się dziewięciu wyższych i niższych komendantów, odznaczających się mundurową ozdobą ze złotych sznurów w dzień „Bożego ciała,“ w odpusty i inne uroczystości doroczne; przy pożarach mniej wybitną korporacya ta odgrywa rolę.

Najwyższym z tych komendantów, czemś w rodzaju kapitana generalnego, jest pan Jandera, prócz tego — burmistrz, prezes rady szkolnej, naczelnik „rajtcechu,“ weteran honorowy, słowem wszystko, czem się stać może taki dygnitarz, przodujący Doubrowie obszarem swych pól, i dobrą tuszą.

Nie można powiedzieć, aby obsypanie p. Jandery temi i tym podobnemi godnościami sprawiało mu pociechę: poświęcał się on dla dobra ogólnego ze zwyczaju, upodobawszy sobie tylko swój generalny kapitanat, połączony z używaniem szyszaka — wprawdzie zapłaconego drogo, ale zdobnego pozłacanym grzebieniem i kitą liści paprykowych.

Dzień, w którym się zaczynają opowiadane przez nas wypadki, zaznaczono w kalendarzu gospód doubrawskich barwą czerwoną; poświęcony on jest bowiem uczczeniu jakiegoś tamtejszego patrona, którego lud obrał za cel pobożnych swych pielgrzymek, a strażacy policzyli w poczet tych wybitnych figur, którym oddają honory wojskowe.

Z tej przyczyny zaniepokoił ich trębacz sztabowy, już od samego rana alarmujący miasteczko wspaniałym sygnałem; snuło się też przez cały dzień w Doubrawie, po rynku i gospodach, siedmnastu strażaków, ozdabiających niezmordowanie wszystkie kąty mieściny, to w pełnym szyku, to pojedyńczo. Z tego powodu nareszcie pocił się pan Jandera *en grande tenue;* ukazywał się wszem wobec i każdemu z osobna, i uznał w popołudniowej porze nagłą konieczność zaniesienia swego podziwu godnego szyszaka na „pustki,“ gdzie przebywała stara Kotyzowa, wielce potrzebująca błogiego widoku p. Jandery.

„Pustki“ nie używają w Doubrawie dobrej opinii; składają się one z dość rozległego bagna, które się ciągnie od brzegu stawu, i ze skał nagich, nieurodzajnych, sterczących nad moczarami. Stanowią własność gminy, która z rzadkim pietyzmem zostawia je, według starego a dobrego zwyczaju, wolnemu zużytkowaniu przez wodników, błędne ogniki i czarownice, których grono ostatnimi czasy powiększyła stara Kotyzowa. Kobieta owa napozór wprawdzie nie czarowała; pędziła jednak żywot nader gorszący.

Pan Jandera znów się dziś o tem przekonał.

Z drugiej strony stawu spoglądały na nią chaty doubrawskie, a spoglądały tak uroczyście, tak połyskiwały swą białością, że się napatrzeć nie było można; z dali odzywało się pukanie moździerza miejskiego, odgłos wszystkich dzwonów i jakiś łoskot rytmiczny, który z bliska mógł być podobnym do muzyki. Jeżeli pan Jandera przypuszczał, że Kotyzowa płonie żądzą ujrzenia roskosznych uroczystości doubrawskich, cierpkiego zaprawdę doznał zawodu. Kotyzowa jak najwyklejszym sposobem wycinała cebulę w swym ogródku, a podniosła oczy dopiero w chwili, gdy usłyszała trzeszczenie płotu, któremu p. Jandera powierzył swą dwucentnarową korpulencyę, usiadłszy na nim, jak na koniu, w pozie malowniczej.

— Posłuchajno osobo — rzekł pan Jandera z ojcowską tkliwością, mamy dziś niedzielę i wielkie święto.

p. Chmielowskiego, niech naprzód porachuje własny inwentarz literacki. To też o ile społeczeństwo nasze dziś się porusza, postępuje, — porusza się i postępuje według rytmu „młodych,“ w kierunku ich zasad i ku ich celom; o ile zaś śpi, śpi ukołysane piosenką „starych,“ przerywając drzemkę mechanicznem odmawianiem za nimi pacierza. Nic to nie znaczy, że pierwsi nie stanowią ściśle uorganizowanej „partyi;“ nie stanowią jej drudzy, gdyż „partye“ nie powstają w działaniu teoretycznem, jakiem przeważnie jest nasze, a zresztą sama natura i zasady żywiołów liberalnych, przenikniętych swobodą, wyłączają formacyę owczego stada lub karnością spojonego szeregu. Mimo rozproszenia i różnic, pierwiastki postępowe utrzymują się w skupieniu siłą zasadniczego powinowactwa, a że ten i ów przylgnie do konserwatywnego lepu, to innych nie gubi. Jak w łonie ziemi ciała, tak w łonie społeczeństwa umysły istnieją i działają, chociaż nie tworzą jednolitej bryły, lecz tkwią kawałkami lub wchodzą w skład rud obcych. Potrzeba je wytopi, wydzieli i razem złączy.

„Rzecz dziwna! —powiada ten sam Heine, którego jeden z lekkich kawalerzystów „starej prasy“ do świadczenia przeciw „młodej“ chciał namówić—zawsze religią, zawsze moralnością, zawsze patryotyzmem liche subjekty ozdabiają swoje napaści. Nie napadają nas z niskiego interesu prywatnego, z zawiści psiarskiej, z wrodzonego służalstwa, lecz dla obrony Boga, dobrych obyczajów i ojczyzny.“ Tak było podczas owego dziesięciolecia, tak jest dotąd. Ciągle *alle schlechten Subjekte* ze strony konserwatywnej pod bardzo przejrzystą zasłoną dbałości o religię, moralność i kraj robią podkopy pod obóz postępowy, a złapane i wychłostane kompromitują tych, w imieniu których działają. Nie trudnoby nam było osmagać literackich tatarów za ich ostatni napad; wolimy jednak oszczędzić czytelnikowi przykrego świstu tej rózgi i natomiast przypomnieć konserwatyzmowi polskiemu, że powinien zacząć prowadzić walkę godziwiej, z większym wyborem sił i środków. Żywioł demokratyczno-liberalny stał się w naszem społeczeństwie czynnikiem bardzo poważnym, którego łobuzerya literacka nie pokona i z którym przeciwnicy liczyć się muszą. Złośliwe podkładanie kamyków pod koła biegnącego pociągu, chociażby wykoleiło ten lub ów wagon, kolei nie zniszczy, a nadewszystko nie jest robotą sumienną i uczciwą. Konserwatyzm nasz wyręczając się w najważniejszych sprawach zuchwałą, bo niemającą nic do stracenia drużyną, traci nasz szacunek, któregobyśmy pozbyć się nie chcieli, i ani spostrzega, że jej zawiedzione ryzyka opłaca kosztem swego własnego, ciągle uszczuplującego się gruntu — co nas nie boli, ale zakaża literaturę gorszącymi swarami — co nas bardzo boli.

LEOPOLITANA.

XII.

Bohaterem sezonu jest u nas w tej chwili dobry wasz znajomy — docent filozofii we wszechnicy tutejszej, dr. Julian Ochorowicz. Rzeczywiście ubolewać mi dziś przychodzi, że nie jestem lekarzem, ani też fizyologiem z zawodu, i nie mogę przeto wam przesłać wyczerpującego sprawozdania z zajmujących jego odczytów: „o hypnotyzmie i magnetyzmie,“ oraz z ciekawych jego na tem polu doświadczeń, wykonanych przez szanownego prelegenta ku zdumieniu najniewierniejszych, w tutejszem *kole literackiem*, w sali naszej *almae matris*, wobec grona profesorów i lekarzy, a nakoniec w sali radnej lwowskiego ratusza, na posiedzeniu tutejszego Towarzystwa. Lekarskiego. Rzecz w istocie zasługiwałaby na to jak najzupełniej; niestety jednak wasz sługa jest profanem tylko, i może wam służyć opowieścią jedynie o tem, co na własne oczy widział.

Magnetycznych swych zdolności próbował p. Ochorowicz, jak nam to w *kole literackiem* powiedział, po raz pierwszy w Lublinie, będąc jeszcze uczniem tamtejszego gimnazyum; pochop zaś do tej próby dała mu książka jakaś o magnetyzmie traktująca, która mu wpadła była w rękę. Próba ta powiodła mu się o tyle, iż w wywołanych przez siebie objawach znalazł potwierdzenie tego, co czytał; nie mając jednak podówczas dostatecznego naukowego przygotowania dla przedsięwzięcia samodzielnych badań, zaniechał mały empiryk niebawem dalszych doświadczeń na czas dłuższy. W roku, jeżeli się nie mylę, 1874 ponowił p. Ochorowicz swe próby, które go nawet do poważniejszych miały doprowadzić wyników; nieprowadził jednak aż do tej chwili systematycznego badania, tembardziej, że, jak wiadomo, dotychczasowy stan kwestyi magnetyzmu i hypnotyzmu nie nastręczał szczególnej do badań podniety. Nowsze dopiero zdobycze Charcota i Heidenheina, — szczególniej zaś przybycie p. Donato do naszego miasta, skłoniły młodego uczonego do przedsięwzięcia nowych doświadczeń, które się nadspodziewanie udały, i do zdumiewających rzeczywiście doprowadziwszy wyników, powszechne niemal dziś już w naszym lekarskim świecie budzą zajęcie.

Są wprawdzie pomiędzy tutejszymi synami Eskulapa nieliczni zatwardziali sceptycy, którzy protestują — nie przeciw oczywistości wywołanych przez p. Ochorowicza zjawisk, ale przeciw zasadzie, aby człowiek nie będący lekarzem z zawodu oddawał się podobnym doświadczeniom. Powołując się na to, iż akademia paryska przed laty kwestyę magnetyzmu, jako naukowo bezprzedmiotową, ze swego porządku dziennego zepchnęła, i dotychczas jeszcze trwa w swoim uporze, jakoteż i na

---

Przenikliwe, stalowo-siwe oczy kobiety o postawie wyniosłej, stojącej dumnie przed panem burmistrzem, spoczęły pytająco na obliczu szanownego męża; nazwa „osoba“ była wypływem przychylności pana Jandery.

— Wiem, panie burmistrzu, że dziś jest dzień zwany niedzielą. Czy pan sobie czego życzysz?

— Tak, życzę sobie, abyście zaniechali swych bezbożnych praktyk, a niedzielę święcili odpoczynkiem i rozpamiętywaniem swego grzesznego żywota — mówił pan Jandera, z uczuciem przykrości, że nawet jego wspaniały szyszak nie potrafił odwieść Kotyzowej od zwykłego jej lekceważenia innych. Miałem nadzieję, że dziś przynajmniej dogadam się z wami.

— Dziś, jutro, zawsze. Dla mnie jest jeden dzień, jak drugi, a słowa rozumnego zawsze rada posłucham.

— Więc naprawdę nie szanujecie niedzieli ani święta?

— Ja nigdy nie składam rąk za pasem. Kto próżnuje, ten musi żebrać — albo u ludzi albo u swego Boga. Dadzą mu, to dadzą — niedadzą, to niedadzą. Nie zdam się na niczyją łaskę, do takiej nikczemności się nie posunę.

— Kobieto, jesteś uparta. Ale przecież nie mówisz tego sama z siebie.

— Nie, mam to od ludzi, od was. Gdyby mię było nie spotkało nieszczęście, pozostałabym głupia i szczęśliwa, jak wy.

— Kto usłyszy od was takie słowa, musi przyznać. że macie spółkę z dyabłem. Ja wprawdzie nie wierzę, że czarujecie.

— Czaruję. Spojrz pan naokoło siebie. Z nieurodzajnej skały uczyniłam sad owocowy, a z pustego bagna ogród, dający niezły dochód. Chata powstała pracą mych rąk, któremi żywię uczciwie siebie i córkę. A gdyście z tej pustki zażądali lichwiarskiego czynszu, dałam go wam. Oto są moje cuda. Postawcie tu kogo z was — niech je wymodli; umrze z głodu ze swą pobożnością i rozpamiętywaniami.

Pan Jandera doświadczał tak niemiłego uczucia, że szacowny swój szyszak zwieszał trywialnie z jednego ucha na drugie, jak gdyby ten był zwyczajną szlafmycą.

— Wiecie, Kotyzowa—rzekł nieco podrażniony, dajmy pokój tym rozmowom, znam was dobrze, a zresztą w końcu ustąpicie. Wszystko do czasu. Tymczasem pamiętajcie, że zawdzięczacie wszystko pobłażliwości niebios.

— Te nigdy dla mnie nie były pobłażliwemi. Czy znasz pan moją młodość? — odpowiedziała kobieta, przemawiając ciągle tonem stanowczym, a jednak z zupełnym spokojem. Ja jestem względem nich pobłażliwą — mówiła dalej. Wy gdy popadniecie w nieszczęście, skarżycie się na niebo; gdy wam się dobrze wiedzie, chwalicie je, w strachu drżycie przed niem. Ja wszakże nie znieważam niebios żadnemi niedorzecznościami.

— Jak? — wyrzucił ze siebie pan Jandera. To „jak“ było ostrem, jak smagnięcie biczem. Wstał, i cały zaczerwieniony sprawiedliwym gniewem, zbliżył się do kobiety:

— Nędzna włóczęgo, czy wiesz, do kogo tak mówisz?

Kotyzowa przysunęła spokojnie ławeczkę, starła ją fartuchem, i chłodnem spojrzeniem wezwała gościa, aby zajął miejsce. (Tout comprendre c'est tout pardonner).

— Niepotrzebnie się gniewacie, panie Jandero. Mnie nie zmienicie. Przyszedłeś pan do mnie w odwiedziny, a radabym wiedzieć, co pana tu sprowadza?

— Kotyzowa, wybyście potrafili pozbawić człowieka rozumu — wyjąkał pan Jandera, i usiadł ze skromnością, nielicującą zupełnie z dostojeństwem doubrawskiego honoratiora. A przecież ja przyszedłem do was z serdeczną przyjaźnią, z najuczciwszym zamiarem. Pan Jandera przykładnie zapanował nad sobą.

— Jakiż jest ten zamiar?

— Słuchajcie, kobieto, los zrobił was zatwardziałą. Niechaj to Bóg naprawi, bądźcie sobie, jaką chcecie, tylko nie zapominajcie, że jesteście matką. Nie myślicie nawet, na jaką drogę możecie zaprowadzić swoją córkę. Nie bierzcie jej zguby na swe sumienie, Kotyzowa! Serce każdego dobrego chrześć — hm, hm, każdego dobrego człowieka w Doubrawie zasmuca się losem

to, że fakultet medyczny wiedeński oświadczył się przeciw Hammowi, i przyczynił się do zabronienia mu magnetycznych doświadczeń w obrębie rakuskiej stolicy, a przytaczając wreszcie fakt, że sam Charcot, nie doszedłszy do zadowalających wyników, zaniechał dalszych doświadczeń na tem polu, — utrzymują oni, że magnetyzm jest dla nauki dotychczas *terra incognita*, i że przeto powiedzieć nie można, czy wywoływane przez magnetyzerów zjawiska nie działają szkodliwie na ustrój nerwowy pacyentów? Panowie ci woleliby z tych powodów, ażeby tego rodzaju doświadczenia — jeżeli przedsiębranemi być mają, wogóle wpierw, nim w tej mierze nauka zdanie swoje wypowie, — czynionemi były zawsze przez newropataloga specyalistę. Jakże bowiem nauka będzie mogła wypowiedzieć swe zdanie, jeżeli sprawy nie zbada? Głupio to wprawdzie, ale za to poważnie! Z punktu widzenia humorystyki dają się przeto zarzuty powyższe scharakteryzować, jako jęk boleśny dyplomowanych rzeźników, zagrożonych w swym przywileju bezkarnego mordowania ludzi przez niedyplomowanego rzeźnika; z punktu widzenia postępu i zdrowego rozsądku jedyną podobno na te protesty odpowiedzią będzie: *Que messieurs les médecins commencent!*—niech panowie lekarze zaczynają! Ale dotąd panowie lekarze nie zaczęli, a p. Ochorowicz zaczął; liczne zaś przedsięwzięte przez niego doświadczenia wykazały całą płonność czynionych mu zarzutów, i narzuciły go nietylko modzie, lecz co ważniejsza zdobyły mu uznanie wszystkich naszych postępowych lekarzy.

Ogółem wprowadził u nas do tej chwili p. Ochorowicz trzydzieści sześć osób w stan hypnozy i snu magnetycznego; między temi na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa Lekarskiego — hysteryczkę, przedstawioną mu po raz pierwszy, którą pomimo jej oporu uśpił w przeciągu 4 do 5 minut, i wprowadził w stan katalepsyi i znieczulenia. Również udało mu się na żądanie ordynujących lekarzy wprowadzić po kilkakrotnie w sen magnetyczny osobę młodą w gorączce leżącą, przyczem zauważono na pacyentce skutki przeciwgorączkowego działania dłuższego snu magnetycznego—objaw, który bez wątpienia nader cennym jest dla lecznictwa nabytkiem, zwłaszcza jeżeli go stwierdzą liczniejsze doświadczenia, ku czemu wdzięczne p. Ochorowiczowi otwierają pole nasi lekarze, oddawszy mu obecnie cały tutejszy szpital powszechny, celem doświadczeń, do dyspozycyi. Tak tedy Lwów, o ile mi się zdaje, jest dzisiaj jedynem na kuli ziemskiej miejscem, gdzie terapeutyczne zastosowanie magnetyzmu zajmuje najpoważniejsze siły lekarskie.

Doświadczenia, przez p. Ochorowicza na licznych medyach przedsięwzięte, posuwają kwestyę objawów magnetycznych znacznie naprzód; stwierdziły one bowiem już wiele faktów dotychczas wątpliwych, jak n. p. zauważaną najprzód przez Lafontaina, zupełną nieczułość wprowadzonych w stan magnetyczny pacyentów na silne prądy elektryczne, — jak zupełny brak bólu po obudzeniu u osób, podczas snu magnetycznego lakiem oparzonych, lub zranionych przekłuciem mięśni, — jak możność wywoływania za pomocą magnetycznego prądu tych samych skutków, które wywołują kurara, chloroform, strychnina i tlenek azotowy (czyli gaz rozweselający) i—jak wreszcie nie drażniące wcale, lecz owszem uspakajające działanie wpływów magnetycznych, co jak wiadomo teoryi Heidenheina zupełnie się przeciwi. Doświadczeń swoich nie ogłasza p. Ochorowicz; obserwowane bowiem zjawiska dają pochop do coraz ciekawszych, coraz subtelniejszych spostrzeżeń; chociaż liczba tych objawów jest jeszcze dotychczas niewystarczającą, ażeby na nich oprzeć można stałą jakąś teoryę. Względy te nie krępują oczywiście sługi waszego, który przeto — jakkolwiek go nie „smażycie w smole,“ wszystko wam wypaplać może „co widział w szkole,“ dowolne sobie zarazem z tego wysnuwając wnioski.

Pomiędzy osobami, wpływom magnetycznym p. Ochorowicza ulegającemi, odznacza się szczególniejszą wrażliwością słuchacz tutejszej wszechnicy, p. Rauch, młodzieniec może dwudziestodwuletni, nadzwyczaj silnie rozwinięty, chociaż, o ile o tem sądzić mogę, nieco anemiczny. Ponieważ niedawno temu mieliście sposobność widzieć w Warszawie magnetyczne doświadczenia p. Donato, nie będę was więc tutaj trudził szczegółowym opisem zjawisk, które u p. Raucha wywołuje p. Ochorowicz. Wystarczy podobno, gdy powiem, że młody nasz badacz wprowadza medium swe dowolnie w stan magnetycznego snu, anestezyi, hyperestezyi, katalepsyi i tężca,—że zjawiska te objawiają się u p. Raucha w daleko wyższym stopniu, aniżeli to miało miejsce u panny Lucylli, i że wrażliwość p. Raucha jest tak wielką, iż pan Ochorowicz wywołuje u niego natychmiastowe sparaliżowanie ręki w ruchu będącej, bez uśpienia pacyenta, jedynie za pomocą silnego rzutu owej siły, owego—że się tak nienaukowo wyrażę — magnetycznego *fluidum*, którem naszego młodego uczonego obdarzyła przyroda. Zjawisko to, które p. Ochorowicz wywołał po dwakroć wobec licznej a wyborowej publiczności (w auli akademickiej i na posiedzeniu lekarskiego towarzystwa) potrzeba widzieć, aby w oczywistość jego uwierzyć; możność dowolnego wywoływania takiego objawu graniczy bowiem już z tem, co nazywamy cudownością.

Ciekawszemi atoli dla nauki są mojem zdaniem doświadczenia, przez p. Ochorowicza na osobach wpływom magnetycznym ulegających—przy zastosowaniu elektryczności i mineralnego magnesu przedsięwzięte, — te bowiem rzucają nowe, a nieznane, lub przynajmniej zapoznane światło na magnetyzm, i tłomaczą nam poniekąd

---

biednego dziewczęcia, od którego odpędzacie jego anioła stróża.

Pan Jandera przemógł się już widocznie; mówił porywająco, jak kaznodzieja.

— Moje dziecko jest zdrowe i wesołe, dla tego, że dbała o nie jego matka, która sobie nigdy żadnego anioła stróża nie najmowała za niańkę.

— Tak, tak, — ale to wychowanie, ta moralność— westchnął pan Jandera zgłębi piersi, i wzniósł oczy do góry.

— Panie, odrzekła Kotyzowa szorstko, nie tykaj moralności mej córki! Ja w nią wpoiłam szacunek dla siebie i miłość bliźniego, wlałam w nią samowiedzę i wiarę w prawdę i prawo, ja, pogardzona, zdeptana. Kobieta w rodzaju waszych byłaby ją wychowała w głupiem narzekaniu i gniewie bezsilnym, byłaby ją nauczyła nienawiści do ludzi i wzywania u Boga zemsty bez granic. Moja córka nie zna hańby swej matki, ona jest nieskażona.

— Alež moja duszo, to jest rzecz podrzędna, ja mówię o nauce moralnej, o pobożności.

— Ta znów u mnie jest rzeczą podrzędną. Nauki moralnej posiada ona więcej, niż ktokolwiek z was; ponieważ wszczepiłam w nią tylko samą moralność — bez przymieszki bajek pobożnych, w których tonie wasza.

— Tak — przecież coś. No widzicie, to mię cieszy. Ja muszę dbać o moralność, powiedzcie sami, czy na to jestem burmistrzem, czy nie?

— Myślę.

— Więc tak? Chcę uczynić jeszcze więcej. Lubię waszą Małgorzatę, jest pracowitą, — chcę ją wziąć do służby.

— Abyście ją uczyli po swojemu? Nigdy!

— Nigdy — eh, fraszka! Czegóżbyśmy mieli ją uczyć, przecież, o ile wiemy, dobre daliście jej wychowanie, więc nie potrzebujemy się o nie troszczyć. Powiadacie, że nigdy! Moja złota Kotyzowa — przedstawiał dobrotliwie pan Jandera—macie już około lat czterdziestu, wprawdzie to jeszcze nie starość, jesteście jakby z żelaza, niby dąb w lesie; ale baczność! — baczność!... Życie was znękało, zmęczycie się pracą, a przyjdzie to w jednej chwili... Gdzie się wówczas podzieje wasza córka, której nikt nie zna? Czy nie lepiej by było zawczasu pomyśleć o tem, gdzieby mogła znaleść przytułek?

Kotyzowa się zamyśliła.

W dali huknęły kilkakrotnie moździerze, zaczęto bić we wszystkie dzwony. Czyżby przyszli do miasteczka nowi pątnicy, nieznający jeszcze szyszaka pana Jandery?

— No cóż? — pytał mąż wybrany, słuchając jednem uchem dźwięków, które płynęły od strony miaszeczka, drugiem zwracając się ku Kotyzowej.

— Nie mogę się spieszyć z decyzyą. Bądź pan cierpliwy, a tymczasem przyjmij podziękowanie za dobrą wolę.

— A na cóż tu wahanie? — rzekł niecierpliwie pan Jandera.

Tymczasem wzmógł się rytmiczny łoskot w miasteczku: burmistrz wyprostował nagle swą figurę i pomruknął:

— Widocznie jakieś nowe procesye!

— Zresztą, jak chcecie! — kończył mąż, którego wyższe obowiązki wzywały nieodwołalnie ne forum doubrawskie, i oddalił się — z pośpiechem, wielce pocieszającym u ludzi dotkniętych podagrą.

Kotyzowa ścigała spojrzeniem odchodzącego i stała tak czas jakiś, przeciw swemu zwyczajowi— z rękami założonemi za pas.

Ludzie dręczyli ją nieustannie wszelkiemi sposoby, a ona opierała się nikczemnej złości, wzniosłszy dumnie swą głowę nad niską gawiedź, jak skała granitowa.

Teraz znów przyszedł jeden z najdawniejszych jej przeciwników: ukrył on w sobie złość, zbliżył się do niej ze złudnemi obietnicami i słowem pokoju, i sięgnął prosto do wnętrza jej świątyni, do serca obumarłego dla każdej miłości a bijącego całą siłą tylko... dla dziecka.

Intrygi, któremi gardziła, skierowane były tym razem przeciw jej córce! Kotyzową ogarnął smutek, poraz pierwszy od lat wielu.

Przełożył z czeskiego
S. Tomaszewski.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

jego istotę. Do rzędu tych doświadczeń zaliczam:

1) wywołanie utraty mowy i zdolności myślenia przez działania słabych prądów indukcyjnych, przebiegających po drucie okręcanym na około głowy pacyenta, i wogóle możność bezpośredniego działania na funkcye psychiczne za pomocą elektryczności — bez usypiania;

2) tężec w ręce, wywołany również pod wpływem prądów indukcyjnych lub stałych, okrążających rękę drutem izolowanym;

3) działanie przyciągające na kończyny snem magnetycznym uśpionego medium, wywołane za pomocą magnesu, bursztynu, srebra, kryształu górskiego i nnych metalicznych i niemetalicznych ciał;

4) wywołanie snu magnetycznego przez zbliżenie silnego magnesu do głowy osoby, śpiącej snem zwyczajnym;

5) znieczulenie palca za pomocą mineralnego magnesu, bez uśpienia pacyenta, bez użycia środków chemicznych i bez dotykania. Ciekawego tego, a dla chirurgii nadzwyczaj ważnego zjawiska doświadczył na własnej osobie piszący te słowa kilka razy.

Opierając się na tych zjawiskach, które licznemi stwierdził doświadczeniami, a które jak widzimy rehabilitują poniekąd niesłusznie spotwarzanego Mesmera, zbija p. Ochorowicz znaną teoryę Heidenheina, jakoby objawy magnetyczne identycznem były z hypnozą zjawiskiem, i twierdzi, iż stan magnetyczny jest owszem fenomenem nierównie zawilszym, w którego wywołaniu udział biorą słabe prądy elektryczne, spowodowane bądź to zastosowaniem ciał, własności elektyczne posiadających, bądź też zastosowaniem t. z. zwierzęcego magnetyzmu, który znowu tłomaczy się w części słabemi elektryczynemi prądami, powstającemi przy kurczeniu mięśni, jak to pierwszy naukowo stwierdził Du Bois Reymond. Słuszności tej teoryi, która jak pojmujecie, kwestyę magnetyzmu w nową wprowadza fazę, dowodzi p. Ochorowicz nowem zupełnie, o ile wiem, doświadczeniem, a mianowicie magnetyzowaniem w odwrotnym kierunku, wprowadzając w znieczulenie i tężec, najprzód dolne, potem górne kończyny swego medium, i sprowadzając sen magnetyczny skutkiem ostatecznego działania na mózg pacyenta — proceder, którego zastosowanie nie byłoby oczywiście możliwem, gdyby hipnoza i stan magnetyczny identycznem były zjawiskiem.

Doświadczenia p. Ochorowicza przynoszą więc, jak z tego widzimy. nauce korzyść rzetelną; — nie mniej da się już dziś w przybliżeniu oczyzyć doniosłość ich praktyczna dla rozwoju lecznictwa. Jeżeli bowiem słuszną jest zasada Hammanna, która coraz większe sobie w świecie lekarskim zdobywa uznanie, że *similia similibus curantur*, to tem samem słuszną jest i zasada, broniona przez p. Ochorowicza, że *przez sztuczne i częste wywoływanie zjawisk pewnych, jak drgawki, kurcze, katalapsye, padaczka i t. d. rośnie stopniowo łatwość umyślnego wywoływania tych objawów, lecz słabnie zarazem możność samoistnego ich powstawania.* Widzicie stąd, jak ważne mógłby lecznictwu oddać usługi magnetyzm na takie popchnięty tory, gdyby się ziomkowi naszemu powiodło stwierdzić naukowo powyższą zasadę.

Junius.

ZJAZD PEDAGOGICZNY.

Kraków, 25 lipca 1881 r.

Kto miał sposobność zblizka, nie przez szkiełka narodowego optymizmu lub ciasnych pojęć, lecz bezstronnie, trzeźwemi oczyma przypatrzyć się Krakowowi, ten przyznać musi, iż zasypia on obecnie snem błogosławionych... Czy weźmiemy pod rozwagę ruch jego umysłowy, czy polityczny, czy choćby przemysłowy, gdy uprzytomnimy sobie jednocześnie budzące się życie w innych dzielnicach Polski,—zawsze wyciągniemy jeden i ten sam wniosek: Kraków śpi. A stan ten nie jest *hipnotycznej* natury, chwilowy — datuje się on już oddawna. Gdy bowiem słynny bohater z pod Solferino, z braku innych środków, zaczął preparować maść konstytucyjną dla uśmierzania bólów różnorodnych cząstek swego imperyum, — wówczas to jeszcze Kraków powiedział sobie: dość mam już wszystkiego! — i syt chwały wyciągnął się swobodnie na ziemi, usnął, i śpi aż dotąd, ogrzewany słońcem c. k. konstytucyi. Sen jego jest przedziwnie błogi, spokojny i bezpieczny: c. k. policya przy pomocy stańczyków bacznie ogania muchy, siadające mu na nosie, żołdak z nabitym *giwerem* u boku uprzejmie dmucha w kaszę, żyd z możliwą starannością oczyszcza z okruchów kieszenie, a ćma spasionych ojców śpiewa antyfony, kropi wodą święconą i żegna egzorcyzmami. Śpi też Kraków, jak zabity... Czasem tylko chrapnie głośniej, westchnie, kichnie lub splunie...

Jeden właśnie z takich wyjątkowych objawów żywotności Krakowa zanotować nam dzisiaj wypada. Ciche, nudne i puste miasto od 17 b. m. roi się tysiącami przybyszów. Są to pedagogowie, lekarze i przyrodnicy. Pierwsi, o których mówić będziemy na tem miejscu, przybyli naradzić się wspólnie nad dalszem wychowaniem obywateli przyszłości t. j. ludu prostego, a tem samem polepszyć moralny i materyalny byt kraju. To cel główny zjazdu, cel szlachetny, zasługujący na baczną uwagę i poparcie. Czy zjazd uczynił zadość temu — nie chcemy stanowczo twierdzić ani tak, ani owak. Dość na tem, że zjazd się odbył, a ja winienem wam sprawozdanie.

Zjazd pedagogiczny trwał trzy dni. 17 b. m. o god. 3-ej po południu ustrojony w zieleń pociąg galicyjski przywiózł nam gości w liczbie około 100 (w zjeździe wzięło udział ogółem 1.500 osób). Na dworcu kolejowym p. Sawczyński, prezes Towarzystwa pedag. powitany został krotką przemową przez dr. Weigla, prezydenta miasta, na co p. Sawczyński odpowiedział jeszcze krócej. „Czem chata bogata“ i t. d.— rzekł jeden; „Skorośmy w Krakowie, już nam dobrze“ — odrzekł drugi. Poczem nieomieszkano krzyknąć sobie wzajem: „niech żyje prezes!“ „niech żyje prezydent!“

Posiedzeń zjazdu było trzy. Odbywały się (18-go, 19-go i 20-go b. m.) codziennie w godzinach rannych, między 8-ą a 10-ą, w amfiteatrze gimnazyum św. Anny. Na pierwsze przybył p. Weigel z wice-prezydentem Muczkowskim (obadwaj domyślacie się — w żółtych butach i słuckich pasach), i powitał zebranych. Wspomniał p. prezydent o ludziach zasłużonych Towarzystwu, pokręcił wąsa i wyraził radość z tak licznego zgromadzenia. Po prezydencie zabrał głos p. Sawczyński. Zwrócił przedewszystkiem uwagę na to, że członkowie zgromadzenia nie przyjechali tutaj— jak wielu mniema — bawić się, lecz pracować. Zresztą — dodał — nauczyciele ludowi, mozolnie rok cały pracujący, mogą mieć prawo i do rozrywki. Niechże nią będzie wzajemna wymiana myśli i „gawęda z kamieniami Krakowa...“ Przemówienie to rzeczywiście było bardzo ładne i gorące. A choćby i niem nie było, klaskaliby biedni nauczyciele, ponieważ mówił członek Rady Szkolnej krajowej, dyrektor gimnazyum, prezes zjazdu Towarzystwa etc. etc. Tu muszę podzielić się z wami pewnem maleńkiem spostrzeżeniem. Czemże to sobie wytłomaczyć, że na obradach, bez względu na to, czy kto przemawiał *za*, czy *przeciw*, sypano mu powszechne brawo? Niemniej i to jeszcze godne uwagi, że dwaj całkiem przeciwni sobie mówcy dostawali oklaski od jednych i tych samych słuchaczów. Smutne to daje wyobrażenie o stanie umysłowym pp. światłodawców, do czego również przyłączyć wypada, że wielu z najlepszych mówców (pożal się Boże, jaka to była elokwencya) wykazało się zupełnym brakiem znajomości najpierwszych prawideł gramatyki.

Po p. Sawczyńskim powstał p. Stawarski, i skreślił historyę sali amfiteatralnej w gimnazyum św. Anny, sali zbudowanej przed 250 laty, zdobnej portretami Nowodworskiego, założyciela szkoły, króla Jana III, Kościuszki i t. p. Tu ogłoszono niegdyś konstytucyę Krakowa, tu przyjmowano monarchów i znakomitych gości, tu miał odczyt filozof nasz, Bronisław Trentowski i t. d.

Po p. Stawarskim wita zgromadzonych p. Jabłoński, przewodniczący zarządowi oddziałowemu krak., poczem powołuje się sekretarzy, postanawia wziąć udział w jubileuszu Majera, honor. członka Tow., składa się życzenia p. Bociańskiemu, który niedawno obchodził uroczyście rocznicę 50-letniej pracy swej na polu nauczycielstwa ludowego, wybiera się komisyę lustracyjną do zbadania funduszu Tow. i t. p. Czynności te przedwstępne powtarzają się przed każdem posiedzeniem. Odczytywano tu nadsyłane z różnych stron telegramy, odpisywano na nie, wybierano członków honorowych. Na prośbę Rady gminnej w Kołomyi, Towarzystwo postanowiło odbyć tam zjazd swój następny. Do nieodzownych, z góry przewidzianych czynności, wiecu należy jeszcze zatwierdzenie budżetu na rok przyszły, oraz wybór prezesa, wice-prezesa i członków zarządu głównego. Pierwszym został nadal p. Zyg. Sawczyński, drugim prof. Gerstman. Do zarządu zaś weszli między innemi: dr. Sawicki, Zajączkowski Alfred i Samolewicz.

Odczytów treści pedagogicznej było dwa. Pan Żuliński mówił: „Czy, i o ile należy żądać ograniczenia lub zmiany planu nauk przyrodniczych dla szkół ludowych.“ Prelegent stawiał wnioski dość słuszne, ale nie umiał wykładu ująć w jakikolwiek systemat, i objaśniał się z wielką trudnością. Za to wykład prof. J. Harwota—„Pracownia szkolna ze stanowiska ekonomii społecznej“—był bardzo zajmujący. Prelegent twierdził, że Montalambert niesłusznie nazwał nas narodem w żałobie, bo nam właściwiej należy się tytuł „narodu nędzarzy.“ Gdziekolwiek rzucisz okiem, czy na wieś, czy na miasto — wszędzie ogromna nędza, wskutek czego—upadek sił fizycznych, moralnych i niepowszednia śmiertelność. Dalej dowodzi logicznie p. Harwot, że czeka nas katastrofa, jeśli dalej rzeczy pójdą takim trybem. Przyczynę takiego upadku widzi rzecznik nie w różnych klęskach, nie w podatkach wysokich i loteryi liczbowej, ale w tem, że za mało i źle pracujemy, i nic nie oszczędzamy. Środkiem zaradczym może tu tylko być działanie z dołu, z gruntu, środkami wychowawczymi. Zdanie, że „szkoła jest podstawą materyalnego bytu społeczeństw,“ popiera prelegent cytatami z najpierwszych mędrców i myślicieli. Działanie to *z dołu* zasadza p. H. na urządzeniu szkolnych kas oszczędności i pracowni. Pierwsza najlepiej naucza nas oszczędności, druga bezustannej pracy. Projekt

ten rozbiera prelegent ze stanowiska psychologiczno-pedagogicznego, i wieńczy w końcu swą rzecz odpowiedniem zdaniem wynikowem.

Resztę czynności zjazdu wypełnia: traktujące o wydawnictwach Towarzystwa, sprawozdanie p. Benoniego, z którego dowiadujemy się, że w roku ubiegłym znacznie upadł popyt na artykuły dla szkół ludowych; a nadto sprawozdanie z prac (nic nigdy nierobiącej) „ankiety szkolnej.“ Z relacyi tej mamy do zapisania rzecz nader śmieszną. Oto p. Baranowski obstaje za uchwałą, aby wyjście za mąż nauczycielki stanowiło koniec jej publicznego zawodu. Ciekawym bardzo, kto może lepiej spełniać obowiązki nauczycielki: kobieta niezamężna, czy *matka?* Wszakże doświadczenie, którego z wiekiem nabywamy, pożądane jest w zawodzie pedagogicznym, a związki małżeńskie nie zabezpieczają jeszcze od wykolejenia na całą przyszłość. Jeżeli zresztą idzie o to, aby zajęcia domowe nie przeszkadzały publicznym, nieodrzeczy będzie pomyśleć, że nietylko zamężna kobieta obowiązkom rodzinnym gorliwie oddawać się może...

Z odczytanego następnie sprawozdania „o wnioskach zarządów oddziałowych i pojedyńczych członków“—wypada nam zanotować fakt nader charakterystyczny. Gdy p. Lewicki ogłosił, że tylko dwa wnioski będą przedstawione (resztę podobno nadesłano zapóźno), wstaje p. Szeliga i powiada, że ciągle one są odkładane (chodziło tu o polepszenie nauczylskiego bytu, co — niewiadomo dla czego—niepodoba się p. Sawczyńskiemu, a za nim *zarządowi),* a o memoryale jak nie słychać nic, tak niesłychać — czemu znów przeczy p. Tatomir. Wybrać więc musiano komisyę do sprawdzenia. I słusznie. Następnego dnia ze sprawozdania komisyi tej dowiedzieliśmy się, że memoryał, dostateczny w głównych punktach, wymaga jednak znacznego uzupełnienia. Oddział np. husiatyńsko-trębowelski przedstawia bardzo interesujące i ważne obliczenie: „ile potrzebuje nauczyciel żonaty, ojciec jednego tylko dziecka, aby mógł wyżyć?“ Otóż minimum 455 złr., gdy więc dzisiaj pobiera 300 zlr., brakuje mu — bagateli — 155 złr.! Wniosek ten przeto, jak i inne, postanowiono wciągnąć do memoryału, uzupełnić, i wybrano *ad hoc* komisyę ze swego łona — mimo wyraźnej niechęci wielu, czego dowiodła żywa, gorąca dyskusya.

Już to w ciągu całego zjazdu zauważyliśmy, że p. Sawczyński i ogon jego—Zarząd Główny—postępowali niewłaściwie i nieformalnie. P. S. wyrażając się grzecznie, nadużywał swej prezesowskiej powagi. Co np. znaczyło despotyczne zamykanie dyskusyi, gdy chodziło o głosowanie nad wnioskiem p. Żulińskiego? Co znaczyło wszechwładne *niepozwalam,* gdy p. Starzecki w pięknej swej przemowie ujął się za honorem nauczycieli szkół ludowych, maltretowanych przez *szkoły średnie* (sic)? Co znaczyło „zgromienie“ go wobec przeszło 1,500 osób? Dla czego Zarząd odrzuca lekkomyślnie wnioski nader doniosłe, np. p. Goldberga—„o działaniu przeciwko pokątnym chajderom, wniosek podpisany przez 20-stu członków“? Przedydujący winien wiedzieć o tem, że mu nie wolno być stronniczym, że powinien dbać o dobro Towarzystwa i być mu ojcem, nie ojczymem, co między innemi uwidoczniło się przy elekcyi prezesa i t. p. Wielu członkom niepodobała się ułożona przez sam Zarząd (sic!) lista wyborców; nikt się jednak z przeciwnem mniemaniem nie odezwał, bano się oponować, a szkoda! Towarzystwo bowiem, jeśli chce kroczyć po drodze postępu, nie pójdzie dalej, dopóki c. k. Rada Krajowa będzie mu wisiała u piersi...

Po zamknięciu zjazdu przez p. Sawczyńskiego, krótką przemową (pokonał tu p. S. oponentów swą linią profesorską), tegoż dnia wieczorem nastąpiła wspólna uczta pożegnalna pod werendą browaru p. Johna. Do stołów zasiadło przeszło 1,500 osób. Że pito i wnoszono toasty — zbytecznem byłoby mówić. Najlepiej przemawiał p. Sawczyński. Popisywał się również zręczną elokwencyą p. Baranowski, oraz p. Goldberg przemawiający w imieniu żydów na podziękowanie narodowi polskiemu. Szkoda jednak, że temu inowiercy dość niegrzecznie przerwano oracyę danym muzyce sygnałem. To samo spotkało i innych. Rodzi się więc mimowolne pytanie, czy tylko prawowierni i ludzie w biretach doktorskich na głowie, mają prawo głosu? *A propos* biretów doktorskich, pozwólcie mi jeszcze słowo powiedzieć. W obradach wiecu pedagogicznego, który bądź co bądź ważne ma przed sobą cele, na 100 przeszło profesorów gimnazyalnych, wzięło udział trzech tylko, z uniwersyteckich zaś — jeden! Zostawiam to bez komentarza.

Nakoniec drobna uwaga. Zjazd rozpoczął swe obrady nabożeństwem, sprowadził sobie błogosławieństwo papieskie a zakończył toastem „na cześć religii i kościoła.“ Pomijając to dziwne nabożeństwo ludzi, którzy mogli byli wymodlić się w domu, a na zjeździe zająć się pedagogiką, niebywałym nawet w ortodoksyjnych rocznikach jest „toast na cześć religii i kościoła.“ Pierwszy to chyba raz pito zdrowie Boga. Klerykalizm sz. pedagogów w zacietrzewieniu swojem zapomniał, że ubliża kieliszkiem tej samej idei, której chciał cześć złożyć. Coby na ten „toast“ powiedział Chrystus? Sądzimy, że jeżeli nauczyciele ludowi piją za zdrowie „religii,“ to niedługo i kształcony przez nich chłopek zacznie a przynajmniej może się upijać także „na cześć religii.“ Dzikie a nasze!

Prawdzic.

„Cztery prądy ducha.“

(„Les quatre vents de l'esprit“).

Taki tytuł noszą dwa grube tomy najnowszych poezyj Wiktora Hugo. Ukazały się one na początku czerwca, a znane są już w 18 wydaniach, z których każde liczy po 30,000 egzemplarzy. Poeta, który za życia dostąpił wszelkich możliwych zaszczytów, któremu dzisiaj cała Francya zsypuje pełnemi garściami złoto, aby mu wystawić pomnik, odpowiadający uwielbieniu narodowemu, ma ten wielki przywilej, że słowa jego są chwytane nietylko we Francyi, ale i w całym świecie ucywilizowanym. Co jest przyczyną tego zapału? Czy rzeczywiście Hugo, jak twierdzi jeden z bardzo poważnych krytyków francuskich, jest najwyższym wcieleniem się geniusza, syntezą Szekspira, Goethego i Byrona? Pomimo najlepszych naszych dla mistrza usposobień, na twierdzenie podobne nigdy się nie zgodzimy.

Źródła zapału, jakim go otaczają, trzeba szukać gdzieindziej. Poeci prawdziwi, prawdziwi prorocy przyszłości, duchy, które odbijają w sobie charakter wieków całych, bywają albo narodowi, jeśli po za potrzeby swojego ludu nie wychodzą, albo poeci ludzkości, jeśli gieniuszem swym nowe a przystępne dla całego świata zdolni są wskazać drogi. Tych ostatnich nie wiele naliczym: Szekspir, który pierwszy wskazał na człowieka, jako na prawdziwy mikrokosmos i badać go polecił, Byron, który odbił w sobie cały sceptycyzm i zwątpienie początku naszego wieku, Goethe, który bieżące zagadki ludzkości rozwinął na tle antycznego artyzmu, i dwa odległe a obce sobie światy siłą geniuszu swego połączył, Mickiewicz wreszcie, który poszanowanie dla tradycyi z najnowszemi zdobyczami ducha ludzkiego związawszy, wytworzył ideał nowych społeczeństw na miłości oparty — oto wszyscy chyba mistrze słowa, którzy na wieki geniuszami pozostaną.

Bogactwo idei, złączone z wykończeniem artystycznej formy, robi z nich gwiazdy pierwszej wielkości, do których ludzkość zawsze zwracać się będzie. Obok nich — rozsiane mnóstwo innych, mniejszych konstelacyj, które bądź własnem, ale już skromniejszem światłem błyszczą, bądź blaski swe od słońc wymienionych uzyskują. Francuzi w przeszłości swej gwiazd tego rodzaju nie mają. Natura ich żywa, krewka, a zarazem praktyczna, nie zdolna wytrwać w kontemplacyi — przekłada zawsze czyn nad marzenie. Poeci ich najwybitniejsi nieraz wśród świata całego znajdowali naśladowców, ale naród szedł za nimi nie przez hołd dla wielkości idei, ale modę za króla swego ogłosiwszy, składał tem samem w różnych epokach najwymowniejszy dowód czci swego umysłu.

Pomiędzy poetami Francyi Wiktora Hugo zapewne do nawiększych zaliczyć należy; nie dziwimy się więc bynajmniej, że Francuzi tak przesadną cześć mu oddają. Że świat cały także ciekawe ucho na każde jego słowo zwraca, nie dziwi nas to wcale; w dzisiejszej bowiem epoce czuć się daje ogólne zaniedbanie poezyi, a Wiktor Hugo jest niezawodnie najpotężniejszym jej przedstawicielem współczesnym. Czy jednak może na go zaliczyć do owego małego szeregu gieniuszów? Nigdy. Hugo nic nam nie przynosi nowego; on tylko stanąwszy przy silnie dziś rozmamiętniającej republikańskiej nucie, działa na rozburzone namiętności i schlebia doktrynerom politycznym. W obszernej dziedzinie twórczości swojej poruszył wiele drażliwych kwestyj społecznych, żadnej wszakże nie rozwiązał, — a wskazał na nie z równą siłą, jak i średniej miary powieściopisarze. Gdyby był współczesnym Dantona i Robespierra, i gdyby w ognistym swym języku podniósł słowem to, co oni popierali czynem, — zasługa jego byłaby inna. Wobec dzisiejszych warunków zaciekłość czyni go bardziej oportunistą, niż reformatorem. Jako sztukmistrz, nie przyniósł on także bardzo wielkich dla poezyi zdobyczy.

Skrajny i wybujały romantyzm uderzał już niesmakiem w produkcyach Hoffmana lub Jean Paul'a, — w epoce zaś twórczości Wiktora Hugo stał się potwornym anachronizmem, który niemile razi szukające jasności i prawdy umysły. Wynikający z romantyzmu owego kontrast jaskrawością swą oślepiał czasami czytelnika, ale zdrowego ziarna treści mu nie dawał. Jeśli weźmiemy przed siebie dramatyczne naprzykład utwory poety, przekonamy się łatwo, że takie kreacye, jak *Ruy Blas, Hernani, Didier* i t. d. pochodzą z epoki Byrona, i nie stanowiąc wcale charakterów ludzkich, są sztucznemi halucynacyami imaginacyi. Zachodzi oprócz tego jeszcze inna okoliczność. Hugo w wielkość własną sam mocno uwierzył, a choć krytyka francuska bardzo łaskawie z nim się obchodziła, wymarzył sobie, że każda wielkość cierpieć musi, a skoro cierpień rzeczywistych brakło, wyroił je i stworzył, a namiętna jego natura, znajdując żywioł w przekleństwach i miotaniu obelg, rozkoszowała się w tym hałaśliwym rozgwarze. Niebawem do cierpień urojonych przybyły i rzeczywiste. Poeta wstąpił na drogę polityczną, a wypadki zewnętrze nie pozwoliły mu kończyć rozpoczętej karyery. Obowiązków patryotycznych nie wypełnił jak należało, nie naraził się na równi z innymi, i chociaż znalazł się na wygnaniu, nie było ono mu wszakże tak ciężkie, jak innym. Sama ta wszakże okoliczność, że mógł powiedzieć: *je suis exilé, je suis proscrit*—już mu wystarczała. Pomimo całego uznania dla przekonań jego politycznych, sądząc rzeczy z artystycznego punktu widzenia, utwory takie, jak: *Napoleon le petit,* albo *Histoire d' un crime*—uważać można tylko za pamflety polityczne; ostatnie zaś, wierszowane jego utwory, do których należą i *Cztery prądy ducha* (Qua-

tre vents de l'esprit) różną się od owych tendencyjnych płodów jedynie świetną, pełną ognia i siły formą mowy wiązanej. Wiktor Hugo jest wyłącznie lirykiem, a liryzm jego nie w uczuciu tęsknoty lub żalu, lecz w wyuzdanej rozlewa się namiętności. Jakikolwiek jest punkt wyjścia, z którego on, tworząc, wychodzi, zawsze do owego *ja* na końcu powraca. Dzisiaj nietylko we Francyi, ale i w świecie całym namiętności polityczne w imię zasad ścierają się silnie; stąd dziwna sprzeczność w sądach o poecie. Chociaż więc Hugo jest u nas więcej może od innych francuskich poetów znany, ale krążące o nim zdania tak są jeszcze nie wyrobione, że tej charakterystyki ogólnej nie uważamy wcale za zbyteczną.

We Francyi samej zdania o ostatnim utworze poety są jak najrozmaitsze. Jedni utrzymują, że *Cztery prądy ducha* są najwyższym szczytem potęgi, do jakiej się wznieść może geniusz ludzki; inni twierdzą, że jestto dowód ostatecznego upadku zgłupiałego starca.

Bądź co bądź, żadną miarą nie zgodzimy się na to, żeby choć najmniejszy ślad zniedołężnienia sił umysłowych spotkać tu było można. Przeciwnie — tyle tu energii, tyle mocy, tyle namiętności, że raczej chyba zapał młodzieńczy, niż zgrzybiałą starość autorowi przypisać by wypadało.

„Quatre vents de l'ésprit" dzielą się na cztery księgi: satyryczną, dramatyczną, liryczną i epiczną. Z wyjątkiem dramatycznej, trzy pozostałe zdążają do jednego i tego samego celu — bronią jednej tezy politycznej:

Vous me faites horreur!
Croulez monstre, pape, et toi, monstre empereur!"

Oto oś, około której wszystkie przekonania i cała dyalektyka się obraca. Część epiczna, zatytułowana ogólnie *la revolution*, a złożona z pojedyńczych rozdziałów — *les statues* — nie nosi na sobie bynajmniej cech, charakteryzujących ten rodzaj poezyi. Nietylko bowiem, że poeta nie może się zdobyć na niezbędny w eposie spokój i objektywizm, ale nadto krótkie te rozdziały nie mają żadnej treści powieściowej. Hugo po kolei przechodzi królów francuskich, i każdemu z nich wymyśla nie przebierając w słowach: „Despoci, powiada, wy żyjecie i pożeracie świat — wy macie swoje Pompadury, Dyany i Rozamundy — śmiejecie się i rządzicie. Wszystkie czoła kłonią się przed wami, a kraj zhańbiony drży pod waszą stopą. Cały wasz wiek to jedna straszna, czarna plama w historyi." Cała epika *Czterech prądów* jest trzymana stale w tym samym mniej więcej tonie; łatwo więc zrozumie czytelnik, że oprócz nazwy, żadnego żywiołu epicznego tu nie ma. Podobnież satyra Wiktora Hugo nie czyni zadość wymaganiom, nieodłącznym od tego rodzaju poezyi. Poeta nie przedstawia tu, na wzór np. Jawenala, wstrętnych obrazów społeczeństwa; podaje on tylko własne rozumowania, wytykając niby ludzkości drogę do szczęścia, i palcem wskazuje na instytucye, które obalić należy. Księga satyryczna jest zbudowana według wzoru znanych *les chatiments*. Jak epopeja, tak i satyra Wiktora Hugo nie jest niczem więcej, jak polityczną liryką, gdzie poeta własne swe marzenia i własne namiętności wypowiada. Różnica jedyna tych dwóch ksiąg od lirycznej, polega na tem, że w ostatniej Hugo tworzy drobne obrazki poetyczne, czyli tak zwane *chansons*, ujęte w rytm, zmieniające ciągle miarę, podczas gdy w dwu poprzednich stale wiersz trzynastozgłoskowy panuje. Księga liryczna, jaśniejąca niesłychanem bogactwem mowy, kunsztownością wrotek i rymów, dowodzi, że natchniony artysta nawet z języka tak niepodatnego dla poezyi, jak francuski, stwarzać może prowdziwe arcydzieła formy. Dwie księgi pozostałe, a głównie satyryczna, odznaczają się natomiast bogactwem myśli. Nic rzadko natrafiamy tu na słowa prawdziwego patryotyzmu i gorącej żądzy odwrócenia ziomków od przepaści, ku której zmierzają. Najpiękniejszym pomiędzy niemi jest wiersz, który przytoczony przez nas w prozaicznym przekładzie, traci niezawodnie połowę co najmniej swego wdzięku. Nie kusząc się wszakże o rymowane próby, podajemy go tu w tłomaczeniu niemal dosłownem; niech czytelnik w wyobraźni swojej sam w melodyę poezyi go ustroi.

„Trzeba działać, trzeba iść naprzód, i trzeba chcieć szczerze. Marzyć bowiem, jak turek, drzemać niedołężnie, błądzić po wioskach i lasach, hasać na balach, całować dziewczyny — to nie doprowadzi nas wcale do ocalenia ojczyzny, do odzyskania praw naszych, do podniesienia czoła w górę i wynalezienia środka na nasze cierpienia. Mamy łańcuch na szyi, a kwiaty na głowie. Marzymy o złotym wieku stanu zwierzęcego, gdzie jedynym celem było rozmnażanie się. Silimy się na dowcip i młodość, a jesteśmy tylko płaskimi. Oh! ileż tu nikczemności, podłości, wyuzdania i rozpusty! Pamiętajmy, że śmierć kraju idzie za uśpieniem serca, że lud cały upada z upadkiem jednostki! Obowiązek — to Bóg, który nie znosi ateuszów! Powtarzam wam bez ustanku, że święta nasza ojczyzna spoliczkowana, że jestto pora na walkę, nie na zabawę. Rozbudźcie się—bo ojczyzna kona, i w rozdzierających serce swych krzykach domaga się Brutusów, a nie sybarytów. Trzeba jej postaci surowych a dumnych, trzeba ramion umiejących ująć miecz, nie zaś wieńczyć się kwiatami. I oto, dlaczego ja, złamany latami, na placu publicznym, wśród ciżby przechodniów, w obliczu słońca jasnego, które nas oświeca, rzucam wam mą zgrzybiałą duszę i mój gniew odwieczny!"

Również znakomitymi rysami skreślony jest stan dzisiejszego upadku społecznego— stan „gdzie jedynym celem stała się pomyślność zamiarów, gdzie powodzenie jest wszechwładnym sułtanem, a zbrodnia jego wezyrem."

Środkiem do odrodzenia i szczęścia ludzkości jest obalenie wszystkiego, co swobodę jej krępuje, a następnie oświata. Era walki powinna niebawem się skończyć — ogólne przebaczenie powinno uregulować wszelkie nienawiści. Poeta potępiając zaciętą zemstę i nienawiść, wyraża się tak w swoim barwnym języku: „Gdyby Jezus, uwolniwszy się z Kalwaryi, wrócił, i chciał z kolei krzyżować szatana, — powiedziałbym mu: — nie jesteś Bogiem — idź precz!" Jednakże, mimo tej zasady, przebaczenie, tolerancya nie powodują bynajmniej wieszczem francuskim. W wierszu zatytułowanym: *Un nommé Segur*—nienawiść ku duchowieństwu przybiera barwę wstrętnej polemiki; poeta zresztą przyznaje się otwarcie, że uczucie to nieodłącznem jest od jego duszy. Kiedy Muza widząc go idącego na pogrom świata, zapytuje, w jaką broń na tę ciężką wędrówkę się zaopatrzył, on jej na to odpowiada: „Muzo, mam nienawiść złego i miłość prawdy, silniej więc jestem uzbrojony, aniżeli wszyscy paladyni. „A twoje puklerze?" — zapytuje Muza.

— „Mam nienawiść i pogardę!"

Oto główne w ogólnych rysach zasady poety. Idei nowych, jak widzimy, nie wnosi on tutaj, a polityczne, wyznawane przez niego teorye spotykają się nie raz w rozumowanych pracach publicystycznych, wyłożone racyonalniej i jaśniej. Niemniej przeto siła argumentacyi poety, jego namiętności, jego ognisty język uderzają i zdumiewają, zwłaszcza, jeśli zauważymy, że jestto produkcya stojącego nad grobem starca.

Z wymienionemi dotąd trzema księgami nie wiąże się pod względem tendencyj księga dramatyczna. Nie rzadko zdarzyło nam się słyszeć we Francyi skargi, że niepowodzenia dramatu *Angelo* skłoniły autora do zamknięcia w swej tece innych dramatycznych utworów. Ze skwapliwością więc śpieszyliśmy do tej księgi, spodziewając się spotkać te tajone dotąd perły, o których tak wiele mówiono. Zawiedliśmy się wszakże mocno. To, co spotykamy tutaj, dramatem nazwać się może chyba tylko z powodu formy dyalogowej. Treść tego działu już nie polityczna, ale społeczna — kusi się rozjaśnić stanowisko kobiety, daleko wymowniej przedstawione w *Nędznikach*. Osnowy do zabawki dramatycznej (bo inaczej nazwać tego nie można) dostarczyła Wiktorowi Hugo bajka o kogucie, który znalazł perłę, szukając ziarna. („Gallus escam quaerens, margaritam invenit"). Udzielny książę niemiecki, Gallus, znudzony kłopotami tronu, wyprawia się z dworzaninem swoim na poszukiwanie awantur miłosnych. Jak ów kogut w bajce, książę Gallus robi dwa odkrycia. Najprzód znajduje perłę—i tę część podobało się poecie nazwać komedyą—później spotyka inną kobietę (*esca*), i to stanowi przedmiot dramatu, podzielonego na dwie części. Bohaterka komedyi, *Nella* jest córką znakomitego szlachcica, walczącego niegdyś za wolność kraju, wojownika, — który dzisiaj wygnaniec — pracą rąk własnych siebie i dziecię swe utrzymuje. Córka kocha młodego studenta, niewiadomego pochodzenia, który jak się później okazuje jest synowcem księcia i jedynym kandydatem do tronu, przez niego umyślnie usunięty. Gallus, poznawszy niewzruszoną niczem cnotę dziewczęcia, prosi ojca o rękę jej dla swego synowca, i tron mu oddaje. Jestto dyalogowana pięknie sielanka, — coś w rodzaju *der Wanderer* Goethego. Punktem jej kulminacyjnym jest rozmowa ks. Gallusa z Nellą. Sielanka Goethego o tyle jednak jest donioślejszą od utworu Wiktora Hugo, o ile miłość macierzyństwa stoi w hierarchii uczuć na wyższym szczeblu, niż prostoduszna naiwność dziewczęcia. Czy poeta chce tu dowieść czego, wątpimy; chociaż w kilku rysach uplastycznia znakomicie całą godność i czystość wychowanej w ubóstwie Nelli.

Bohaterką drugiej części jest wiejska dziewczyna, uboga sierota, którą poznajemy w chwili, gdy ją odwiedza narzeczony, zapowiadając, że skoro tylko zrzuci furę nawozu, którą wiezie na pole, zajedzie po nią, ażeby się udać do ślubu. Dziewczyna nie kocha właściwie swego narzeczonego; rozkosze pracowitego życia wiejskiego, jakie jej kreśli, nie nęcą jej wcale — idzie za niego z biedy jedynie, (bo cóż ma począć sierota sama jedna na świecie?). W chwili smutnych jej rozmyślań zjawia się książę Gallus, i polechtawszy jej próżność, na dwór ją swój zabiera. Dziewczyna, która w pierwszej części zwała się skromnie *Lison*, w drugiej, pod mianem *Margrabiny Zabeth*, jest uznaną kochanką królewską. Z opowiadań dowiadujemy się, że miliony już w pięknych jej rączkach stopniały, że namiętnie polubiła grę, i że w kartach oszukuje, — że nawet i z księciem Gallusem prowadzi wyuzdane milostki... Nie dziwi też nas wcale, kiedy zebrana u niej próżniacza szlachta traktuje ją jak ...kokotkę. Niespodziewane jednak z tego wszystkiego rodzi się rozwiązanie. Zabeth zaprasza swojego księcia na kolacyę, i kiedy znaleźli się sam na sam, zaczyna mu gorzkie robić wyrzuty, że odebrał jej wiejską prostotę i otoczył zbytkiem, aby szczęście jej wydrzeć. Ona pragnęła miłości, a znalazła rozpustę. Wypija więc truciznę i pada martwa u stóp swego królewskiego kochanka, który poznawszy, jaki skarb utracił, z wykrzykiem: *je l'adorais* — pochyla się nad trupem.

Znaleźć kobietę młodą, lekką i próżną, któraby w zamian za zbytek, stroje i hołdy — cnotę swą i wstyd dziewiczy oddała, wszędzie jest rzeczą bardzo łatwą, a najłatwiejszą może we Francyi. Ale przeprowadzić tę kobietę przez wszystkie stopnie

moralnego upadku, kazać dotknąć się jej wszystkich brudów, zrobić ją histeryczką, goniącą namiętnie za rozpustą, i wtedy dopiero kłaść w jej duszę jakieś wyższe żądania — jest jaskrawym absurdem. Popełniał go Hugo niejednokrotnie. W podobny błąd zresztą wpadają realiści — powołani i niepowołani reformatorowie, którzy częściej w drażliwych sytuacyach zysków osobistych, aniżeli dobra społeczeństwa swego pragną. Chcąc przytłumić handel ciałem kobiecem, owego strasznego raka najsilniej społeczeństwo francuskie toczącego, nietrzeba zwracać się do tych, dla których droga poprawy nie istnieje, ale w młodem pokoleniu zaszczepiać zasady honoru i cnoty. Przedewszystkiem zaś nienależałoby łudzącemi a zwodnemi obrazami tryumfów i zbytku roznamiętniać żywej z natury imaginacyi. Owi to właśnie reformatorzy, owi chwalcy upadłych kobiet, owi zwolennicy szukania pereł w błocie są podobno bezpośrednim powodem zjawiska, że prostytucya francuska nie kryje się po ciemnych miasta zaułkach, jak to jeszcze dotąd w reszcie świata jest we zwyczaju, ale do godności pracy na życie podniesiona, rządzi modą, rozpiera się w powozach, złotem szafuje, i ton nadaje stolicy. Doświadczenie wprawdzie uczy, że te pełne powodzeń tryumfy, kończą się zwykle w szpitalu lub na torbie gałganiarki, ale młodość ufa w swe siły: rzucając się w kałużę jest pewna, że wypłynie, że roztropność uratować ją może od rozbicia w tym pełnym ułud świecie, który tak uroczemi barwami rysuje sztuka i poezya francuska. Kto z taką pewnością siebie, jak Wiktor Hugo, na mistrza narodowi się narzuca, powinien zrozumieć, że na fałszywej jest drodze i na mylnem stanowisku. Taka margrabina *Zabeth* nie jest *esca*, ale raczej *venenum*, — a ponęty, jakiemi ją autor otoczył, zaciemniają blaski *margarity*, która jasnemi promieniami świecić powinna.

Taką jest w ogólnych rysach książka, która tyle teraz we Francyi narobiła hałasu. Z krótkiego tego sprawozdania czytelnicy widzą, że nie podzielamy w zupełności owego zapału, jaki zanucił jednogłośnie cały republikański obóz, nie powiemy o poecie za Banville'm:

„Génie extré vivant dans l'immortalité."

Nie konserwatywne jakieś uprzedzenia zapał nasz chłodzą. Owszem, przyklaskujemy chętnie prawdzie, skądkolwiek ona pochodzi, i chętnie na główne zasady się piszem, choć okoliczności niepozwalają nam ich rozwinąć. Nie tajemy wszakże, iż wobec ostatniego utworu W. Hugo, dalecy jesteśmy od podzielania bezwzględnego chwalców zachwytu.

M. O.

KOMETA CRULSA

(1807—1881).

Historya studyów nad kometą, oddalającą się od nas obecnie tak szybko, zawiera w sobie kilka dość zabawnych epizodów, które, niestety, w tym dziale badań nie są bynajmniej nowością.

Prawie nic dotąd niewiemy, co to jest kometa, jaki jej skład chemiczny, jakie warunki fizyczne jej istnienia, gdy tymczasem o wszystkich innych ciałach niebieskich, nawet tak oddalonych, jak stałe gwiazdy i mgławice, mamy pewne i wcale dokładne wiadomości. Astronomowie błąkają się wśród ogromnej ilości hipotez jak najmniej prawdopodobnych.

Kometa, która świeciła niedawno na niebie, miała według obliczeń wrócić dopiero za siedmnaście wieków, a tymczasem spostrzegł ją brazylijski astronom Cruls w roku bieżącym, po upływie 74 lat od chwili, gdy po raz pierwszy była badaną. Siedmaście wieków, a lat siedmdziesiąt cztery — to zbyt gruba omyłka. Ale skądże pewność, spytacie, że to jest ta sama kometa, którą widziano w r. 1807. Pewności niema, jest tylko wielkie prawdopodobieństwo.

Przypatrzmy się bliżej, w jaki sposób poznają badacze nieba, czy dana kometa, zjawiająca się niespodzianie na firmamencie, jest którąkolwiek z tych, które już poprzednio spostrzegano. Z zewnętrznej postaci o tem sądzić wcale nie można. Kształt komet zmienia się niemal co chwila i nie może służyć za podstawę do porównania. Droga natomiast, którą kometa opisuje, krzywa eliptyczna, którą zakreśla w przestrzeniach okołosłonecznych, pozostaje w ogólnym swym charakterze mniej więcej ta sama. Elementy drogi komety, jak orzekają astronomowie, są do siebie podobne. Jeżeli więc na kilka elementów zupełnie zgodnych jeden się tylko różni, wtedy przypuszczamy, że jest to ciało poprzednio widziane. Zmiany, jakie zaszły, mogły powstać wskutek wpływów kosmicznych jakiejkolwiek natury. Astronom Faye przypuszcza, iż w danym razie powodem omyłki w obliczeniu było to, że nie wiedziano o Neptunie, który dopiero później odkryty został przez Leverriera, a który działaniem swej masy mógł tak wpłynąć na kometę, tak ją zawrócić z drogi, że zamiast siedmnastu wieków, potrzebowała tylko 74 lat do powrotu. Elipsa, która na zasadzie poprzednich obserwacyj miała oś o kolosalnych rozmiarach, okazała się znacznie krótszą. W każdym razie jest to tylko przypuszczenie, wcale od innych nielepsze; możnaby bowiem z równą śmiałością powiedzieć, że się poprostu w rachunku omylono, albo że robiono nie dosyć dokładne spostrzeżenia.

Lecz dopóki mowa o kometach ze stanowiska mechaniki niebieskiej, ze stanowiska czysto rachunkowego, dopóty jeszcze mamy z rzeczami pewnemi do czynienia, i skoro tylko obliczenia były dokładne, skoro uwzględniono wszystkie warunki wpływające na bieg komety, można być pewnym dobrego rezultatu.

Lecz gdy zaczniemy szukać odpowiedzi na pytanie: czem jest kometa, umysł wikła się w sprzecznościach. Są to ciała dziwnej budowy. Nie spotykamy podobnych na ziemi i nie mamy przedmiotów, do których porównaćby je można.

Dość jest rozpatrzyć się w sprawozdaniu z kilku ostatnich posiedzeń Akademii Umiejętności, aby się przekonać, jak różnorodne krążą o tem hipotezy, i jakie trudności spotykają uczeni na drodze ścisłych poszukiwań.

Najpotężniejszym środkiem do badania składu chemicznego i budowy fizycznej ciał, zawieszonych zdala od nas w przestrzeni, jest jak wiadomo analiza spektralna. Z rodzaju promieni światła, wysyłanych do nas przez te ciała odległe, poznać można, jakie pierwiastki chemiczne w ich skład wchodzą, i czy to są ciała stałe, płynne, czy też gazowe. Otóż w zastosowaniu do komet, rozbiory widmowe dają wypadki niezbyt pewne, z których jednak z wielkiem prawdopodobieństwem wnioskować należy, że głównym ich składnikiem jest węgiel, w połączeniu z wodorem, a może i z azotem. Jedni z obserwatorów zauważyli widmo, podobne zupełnie do widma palącego się alkoholu, widzieli pręgi charakterystyczne dla połączeń węglowodorowych; inni znów dla połączeń węgla, wodoru i azotu, w ciele zwanem kwasem sinowodorowym (Az HC). Na podstawie tego ostatniego faktu wnioskował niedawno znakomity chemik Berthelot, że w wytworzeniu ogona komet, elektryczność odgrywa wielką rolę, albowiem kwas wyżej wspomniany powstaje przy wyładowaniach elektrycznych. Zresztą myśl ta nie jest zupełnie nową, gdyż wypowiedział ją poprzednio profesor uniwersytetu lipskiego, Zölner, który mniema, że jedynie przez działanie elektryczne może powstać ogon u komety, zwrócony, jak wiadomo, zawsze w stronę przeciwną słońcu, jakby na przekór sile ogólnego ciążenia. Ponieważ zaś siły odpychające widzimy na ziemi w ich formie najprostszej, przy elektrycznem odpychaniu, stąd więc wyprowadzono wniosek, że to słońce odpycha w przeciwną stronę masę gazową komety.

Ten ogon komety przedstawia właśnie największe trudności, gdy chodzi o zdanie sprawy, czem jest właściwie kometa. Rozciąga się on w przestrzeni na miliony mil długości, i jest przytem tak przezroczysty, że widać przezeń gwiazdy, które przytem nic na swym blasku nie tracą. Masa więc jego musi być tak zadziwiająco małej gęstości, iż o podobnej my na ziemi pojęcia sobie wyrobić nie możemy. Skłoniło to niektórych do przypuszczenia, że ogon komety nie jest wcale materyalnym. Między innymi, znany popularyzator, Flammarion twierdzi, że ogon nie jest żadnym ciałem, lecz poprostu eterem, wprowadzonym — w cieniu jądra komety — w szczególnego rodzaju drgania. Hypotezę taką łatwo wypowiedzieć, ale trudno jej dowieść.

Ważne są bardzo badania pana Prażmowskiego, byłego profesora uniwersytetu warszawskiego, które obecnie zwróciły na siebie uwagę ogółu astronomów. P. Prażmowski znany już był poprzednio z odkrycia atmosfery słonecznej, zwanej zwykle *koroną*. Do tego odkrycia, uczony ten, zajmujący się teraz głównie budową instrumentów astronomicznych, doszedł za pomocą polaryskopu. Tę samą metodę zastosował obecnie do komety Crulsa, i przekonał się, że świeci ona głównie światłem spolaryzowanem, co dostarcza nowego poglądu na jej budowę. Lecz i to nie daje nam jeszcze wcale odpowiedzi na pytanie, czem jest kometa.

Wszystkie dotychczasowe badania spektroskopowe (Wolff, Huggins) nad nową kometą, potwierdzają, że węgiel gra tam jedną z ról najważniejszych. Hugginsowi udało się zdjąć z widma komety fotografię, która jeszcze bardziej o istnieniu przeważnem tego pierwiastku przekonała.

Jeżeli zestawimy dotychczasowe spostrzeżenie, przekonamy się, że: 1) Jądro komety jest albo płynnem, albo też składa się z wielce zagęszczonego gazu. Widmo jest ciągłe. 2) Powłoki otaczające jądro, stanowiące rodzaj atmosfery, są rozżarzonymi gazami. Widmo ich, przerywane, przedstawia charakterystycyne prążki. 3) Ogon daje widmo ciągłe, i wysyła światło spolaryzowane, co zdaje się dowodzić, że jest ono odbitem od gazu.

Jak te obserwacye razem ze sobą pogodzić, jak wyprowadzić z nich wniosek ogólny, jest to zagadnienie pozostawione przyszłości. Komety są ciągle jeszcze zagadką błądzącą po niebie, jak słusznie powiedział Janssen.

Po raz pierwszy w roku bieżącym zdjęto fotografię z komety, w obserwatoryum astronomicznem w Meudon, znajdującem się pod kierownictwem p. Janssena. Były przy tej okazyi niezwykłe trudności do przezwyciężenia. Światło komet jest nadzwyczaj słabe. Blask ich dorównywa zaledwie $1/_{300.000}$ blasku księżyca, a ten ostatni jest tak słabym, że przedstawia tylko $1/_{300.000}$ część blasku słońca. Należało więc przyrządzić nadzwyczaj czułe płytki fotograficzne, aby nie potrzeba było wystawiać ich przez czas zbyt długi na działanie promieni, od komety pochodzących. Użyto w tym celu płyt suchych żelatynowych, napojonych bromkiem srebra. Trzeba je było utrzymywać w zupełnej ciemności, aby się do nich nie dostał żaden promień światła.

Po 30-stu minutach wystawienia, otrzymano bardzo piękny obraz komety, przedstawiający ten fakt charakterystyczny, że na tle ogona wachlarzowatego, widać była

dokładnie gwiazdy, po za tym ogonem się znajdujące.

Z prób tych wnioskować można, jak wielkie z czasem fotografia oddać może usługi nauce.

B. Abakanowicz.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Studya nie z natury przez *Wł. Spasowicza.* Wilno 1881 r.

Pod takim nagłówkiem ukazały się, jako trzynasta książka w długim szeregu pożytecznych wydawnictw p. Elizy Orzeszkowej, cztery prace dobrze społeczeństwu swemu zasłużonego socyologa-estetyka. Ponieważ trzy z pośród umieszczonych tu studyów, mianowicie: o Syrokomli, Polu, i „Hamlecie“ Szekspirowskim, wydane poprzednio w *Bibliotece Mrówki*, znalazły już w *Prawdzie* odpowiedni odgłos krytyczny, zajmiemy się więc tylko oceną rozprawy: *Marcin Matuszewicz, jako pamiętnikarz.*

W r. 1876 profesor Pawiński wydał, jak wiadomo, znane dawniej w rękopisie ciasnemu kółku uczonych, pamiętniki Matuszewicza. Jestto czterotomowy dyaryusz, kreślony ręką typowego szlachcica-agitatora z epoki saskiej. Czem byliśmy w owych „wesołych“ czasach?—Na to pytanie godny swego wieku pamiętnikarz odpowiada całą galeryą portretów, plastycznymi obrazami pojęć, dążeń i czynów z owej fatalnej doby, gdy „królewięta,“ obsługiwane przez gmin szlachecki, gospodarowały samolubnie, śród ciszy przedgrobowej, w walącym się budynku Rzeczypospolitej. Chwila to straszna, przejmująca synów dziewiętnastego wieku dreszczem zgrozy i obrzydzenia. Ale nie odwracajmy się od niej; owszem błogosławmy twórcy wizerunku, że nas zapoznaje z obliczem pradziada, i zbliża do źródła naszych chorób i nieszczęść. W epoce, kiedy M. wstępuje na drogę publiczną, losy Polski zostają już w ręku mocarstw ościennych. Walczące ze sobą stronnictwa szukają podpory za granicą, to w Wersalu, to w Wiedniu lub Petersburgu. Niebawem jednak upada sprawa Leszczyńskiego, a wraz z nią niknie rzeczywiste oddziaływanie Francyi na polityczną dolę Rzeczypospolitej. Żelazne koło wpływów zewnętrznych zacieśnia się i wzmacnia, a nowy projekt rozbioru, złowrogi testament Augusta II, wisi nad Polską, niby chmura piorunowa. Tymczasem za kruchą ścianą złotych swobód Potoccy z Czartoryskimi walczą o hegemonię, o prawo ratowania tonącej łodzi państwowej. Po dawnemu wstępują w szranki bojowe i inni magnaci. Ile dworów możnowładczych, tyle ognisk rządu. Szlachta usługuje panom za chleb i promocyę: zrywa sejmy i trybunały, rąbie się na sejmikach, zmienia wreszcie zdradziecko liberyę służalczą, ilekroć przeciwnik bogatsze obiecuje dary. Na samym dnie tej machiny, po za granicą ruchliwych obozowisk, drzemią stany wzgardzone, a groźba strącenia szlachcica na pozbawione przywilejowe stanowisko bywa niejednokrotnie straszną bronią zemsty w ręku „wielmożnego.“ Nędzę moralną okrywają brzmiące hasła cnoty obywatelskiej, a gwałt i prześladowanie wieńczą się obrzędami „koronacyi obrazów cudownych.“ Oto blade oblicze chwili, której dziecięciem był Matuszewicz. Wychowaniec szkół jezuickich — nadworny „granmuszkieter“ Augusta II, partyzant Leszczyńskiego, utalentowany karyerowicz, ostatecznie kasztelan brzeski, był on gotów, bez względu na zasady, wszystkim służyć i wszystkich zdradzać, byle tylko piąć się coraz wyżej, porastając w pierze.

Praca p. Spasowicza jest wcale udatnem streszczeniem pamiętników, które zamykając w sobie prawdziwą skarbnicę dziejową, nie nęcą przecież czytelnika piękną formą opowiadania. Cel, jaki sobie nasz socyolog w rozprawie tej założył, łatwo odgadnąć. Szło mu nadewszystko o zainteresowanie czytelnika przedmiotem, a więc o zwrócenie umysłów do niezamąconej krynicy prawd historycznych, o pobieżne, ale śmiałe zaznaczenie stosunku takich, jak dyaryusz Matuszewicza źródeł — do romantyki Chodźków, Rzewuskich i Polów, o zestawienie wreszcie nawiasowe moralnej postaci „pogrobowców rodem z rumowisk zwalonego państwowego gmachu“ — z owym wstrętnem, choć ubranem, w porpurę widmem z czasów saskich... Tendencya ta jest bardzo wyraźna. Zarzucić jednak muszę autorowi, że nazbyt się zasklepił w ramach swego przedmiotu. Wartość danego źródła może być wykazaną jedynie na zasadzie krytyki porównawczej. Otwierało się więc p. Spasowiczowi szerokie do badań pole. Jeżeli zaś porzucając myśl napisania obszernego studyum, chciał poprzestać na szkicu konturowym, to i wtedy wypadało koniecznie zwrócić pilną uwagę na takie graniczące z opisanym szczegółem zjawiska, jak pamiętniki Otwinowskiego lub Kitowicza, o których w całej rozprawie nie znajdujemy najmniejszej wzmianki.

Praca o Matuszewiczu jest wogóle sumiennem odwzorowaniem pomnika, zabarwionem uczciwą tendencyą. Nie może ona rościć sobie prawa do tytułu takiego studyum, jakie o tym pisarzu z epoki przełomu — skreślił pan A. Pawiński; ale będąc szkicem o grubych rysach, sprawozdaniem bez pretensyi do głębszej krytyki i ponętnego stylu, może jednak swym tonem i kolorytem wywrzeć na umysł czytelnika wpływ stanowczo dodatni i zachęcić do badania źródeł pod hasłem: *„prawdziwe, więc piękne.“*

A. G. Bem.

PROJEKT BANKU PAŃSTWOWEGO
dla ubezpieczenia rozchodów.

III.

(Zarzuty).

Projekt jest może nieco suchym. Starałem się zresztą być więcej przekonywającym, niż zajmującym. Kilkanaście powyższych artykułów stanowi tylko bezbarwny szkielet projektu. Rzucam go chętnie pragnącym się nim zająć umysłom. Zanim krzyżujące się nad nim zarzuty wyświetlą jego mniemaną czy rzeczywistą wartość, przytoczę tu kilka wymierzonych przeciw niemu ciosów przed jego urodzeniem się w druku.

„Przypuśćmy, że kupcy nabędą obligacye dla rozdawania ich swoim klientom. W jakiż sposób odbiją ten wydatek na konsumentach?“

W takiż sam sposób, w jaki odbijają wydatek na szyldy, drogie sklepy, ogłoszenia. Wyobraźmy sobie, że z czterech znajdujących się przy sobie sklepów, jeden daje obligacye, trzej inni nie. Czyż pierwszy nie powiększy sobie przez to klienteli? Zwiększona cyfra sprzedaży pozwala mu znów stosunkowo obniżać stopę swoich zysków. Przypuszczam możliwość przytem mnóstwa kombinacyj. Najgorszą z nich będzie niechybnie ta, kiedy zyski kupca są tak skromne, że nie pozwalają mu na zrzeczenie się pewnej części zysków. Wtedy albo będzie dawał w połowie, czy w $^1/_3$ części obligacye, lub też w razie możności przerzucać się będzie starał ten wydatek na konsumentów, w części lub całości. Fakt ten wystąpi zresztą dopiero za lat kilkanaście. Wzrost zaufania do tych obligacyj i przekonanie o ich ważności spowoduje pewien nacisk ze strony ogółu na kupców, zmuszając ich do zakupywania obligacyj...

„Więc możliwym jest wypadek, że ów cały koszt obligacyi spadnie na konsumenta?“ — zaważy ktoś...

Przypuszczam i ten najgorszy z wypadków. Stanie się tedy co? Oto jednostka nieświadomie robi sobie dobrodziejstwo, korzystając pod opieką państwa z potężnych skutków operacyj składanych procentów, którejby nigdy sama uskutecznić nie była w stanie.

Pozorne zło tedy staje się nawet w tym razie nader korzystnem dobrem . . . .

. . . .

Nowa instytucya spowoduje u wielu życie nad stan. Niejeden zbytkując, usypiać będzie swoje sumienie tem, że robi to dla pokoleń przyszłych...

Trudno. Ludzie nie fabrykowaliby sznurów, gdyby mieli na widoku, że się lekkomyślni na nich wieszać będą.

Robiąc lokomotywy, mamy zresztą na myśli nie rzucających się pod ich koła, ale tysiące wożonych przez nie pasażerów . .

. . . .

Jest jeden zarzut — raczej usterka, która cechować będzie działalność banku w początkach jego istnienia. Oto jego wpływ z początku ogarnie przeważnie tylko klasy średnie. Trudność wystawiania mniejszych obligacyi nad rublowe, czy półrublowe nie pozwoli biednej klasie, robiącej wydatki zwykle w bardzo drobnych kwotach, korzystać z dobrodziejstwa obligacyj. Z drugiej strony, ceny pokarmów pierwszej potrzeby, które też stanowią główne źródło wydatków klas niższych — ciężko zniosłyby najmniejsze przerzucenie kosztów obligacyi, jak znów kupcy z trudem zrzekliby się jakiejś części zysków. [1]). Ale jestem tego zdania, że z biegiem czasu, a szczególniej z rozwojem oświaty, i w tej sferze zapuści bank potężne korzenie. Zresztą posłuży do tego cały szereg środków, których wyjaśnieniem zajmę się w szczegółowym projekcie . . . .

. . . .

Jeżeli interes banku pomyślnie rozwijać się będzie, nastąpi chwila, w której ogromny zbiór kapitałów uniemożliwi ich oprocentowanie. Co się stanie wtedy z kupami bezczynnie leżącego złota...

Wystawią pomniki tym, którzy się pierwsi do urzeczywistnienia tego projektu przyczynią? Mówmy seryo.

Jakże oddaloną jest ta chwila! Wobec łatwości cyrkulacyi kapitałów — nic łatwiejszego, jak przerzucić ich nadmiar do krajów sąsiednich . . . .

Ale kapitał stanieje z biegiem czasu — jakże państwo będzie wstanie kapitalizować obligacye w stosunku 5% . . . .

Nic łatwiejszego nad zaradzenie w tym względzie złemu. Nastąpi po prostu konwersya, pożyteczna dla państwa i właścicieli obligacyj. Obrachuje się wartość kapitału składanego na 5% do chwili konwersyi — i państwo częściowo czy całkowicie wykupi obligacye i nadal kapitalizować je będzie w stosunku 4%.

Zresztą zarzut ten, wyznaję, przekracza najwybujalsze moje marzenia. Jego możliwe urzeczywistnienie stanowić będzie kiedyś najszczytniejszą apologię dla wprowadzonego w życie banku państwowego.

IV.

Archimedes zdobywszy swą wielką prawdę, poświęcił podobno hekatomby na ofiarę bogom. Od owej chwili—twierdzi Börne — woły obawiają się każdej nowej prawdy. Myśl ta opanowuje mnie zawsze na widok wszelkich nowych projektów. To nam po części tłomaczy, dlaczego każdy

[1]) Jeden z większych właścicieli piekarni u nas przekonywał mnie jednak, i to wymownie, że rzecz ta przyjęłaby, się i to nader pomyślnie przy sprzedaży pieczywa. Brak miejsca nie pozwala mi się wdawać w szczegóły.

dbający o realizacyę swojej idei, odszukuje dla niej antenatów choćby w klasycznych Atenach lub Sparcie.

Niestety, trudno mi zaczepić w pomroce dziejowej o instytucyę pokrewną projektowanej. Zresztą średnie wieki bały się, jak wiadomo, potęgi pieniędzy — i ich mnożenie za pomocą składanych procentów — uważanoby może za kłamstwo, niegodne spekulujących tylko... na zbawienie ludzi.

W nowszych jednak czasach powstało, o ile mi wiadomo, kilka drobnych towarzystw, działających na podstawie składanych procentów, ale przetrwały one zaledwie lat kilkanaście. Trudno stawiać gmachy z piasku. Były to instytucye czysto spekulacyjne, założone przez jednostki polujące na łatwowiernych. Cechowały je owe *wszystkie wady*, jakie czytelnik łatwo wysnuje na podstawie metody à contrario, biorąc za tło do porównań — bank państwowy dla U. K.

Trudno — młot w ręku dziecka pokona je swym ciężarem — w rękach męża — tworzy cuda. Wielka idea składanych procentów potrzebuje dla swej realizacyi takiej tylko potęgi, jaką jest państwo!

Zresztą rzecz ta nikogo nowością swoją nie przestraszy. O jej podstawie wiedzą wszyscy, choć nie zastosowano jej jeszcze nigdy w tej formie. Mówię to dlatego, iż w rzędzie zarzutów spotkałem się i z takimi: dlaczego dotychczas żadne z państw tego nie zrobiło? I w dziedzinie ekonomicznej przeszłość nie znała wielu rzeczy, które wytwarza teraźniejszość, jak znów teraźniejszość nie zna wielu rzeczy, które wytworzy dopiero przyszłość.

Kto wie, czy nie urzeczywistni się kiedyś teorya Hildebranda, że efemeryczna idea kredytu i zaufania zastąpi w zupełności — ciężki pieniądz!

V.

W chwili, gdy to piszę, projekt główny rozpatrywany już jest przez ministra skarbu. Zdanie, jakie o nim wyda pan Bunge (obecny minister skarbu) mieć będzie, niezależnie od praktycznego, i swe doniosłe teoretyczne znaczenie, wobec wysokiej powagi, jaką się cieszy towarzysz ministra w rosyjskim świecie naukowym. Bądź co bądź, czy projekt ten będzie uśmierconym na razie, czy też pogrzebanym na czas dłuższy w aktach ministeryum, przekonany jestem, że zmartwychwstanie on na pewno za lat kilkanaście. Przyodzieje się może w inną formę, ale jego żywotna podstawa będzie jedną i tą samą. Potęga składanych procentów musi ludzkości oddać swoją daninę usług. Postęp wieków nie pozwoli marnować się tak żywotnemu czynnikowi. Zagładzi on może z czasem pewne chropowatości losów, zbliżając wszystkich, jeżeli nie majątkowo, to przynajmniej stopniem szczęścia. Niech tylko kilku tysiącom rodzin oszczędzi rozpaczliwych na przyszłość widoków, niech kilku tysiącom matek da pewność materyalnych podstaw do życia ich potomków, a ludzkość zamiast przypatrywać się jego potędze z boku, przyzna kiedyś temu bankowi zasługi dobroczynnych sił pary, czy elektryczności![1]).

J. Finkelhaus.

[1]) Wartość projektu p. Finkelhausa sprawdzoną być może, jeśli nie *a posteriori*, to w każdym razie po wzięciu w rachubę wszystkich warunków, w jakich on musiałby się urzeczywistnić. Niezależnie od tego, przyznać mu trzeba wielką pomysłowość i śmiałość. Co do nas, sądzimy, że określony przez autora termin wypłaty całkowitej proponowanych obligacyi, jako pobudka do nabywania ich i robienia oszczędności, jest za odległym. I dlatego byłoby daleko praktyczniej, gdyby państwo, prócz ostatecznego terminu, wyznaczyło kilka bliższych, w których dyskontowało papiery po ustanowionym z góry kursie. (*Red.*).

LIBERUM VETO.

Wiadomość o wydzierżawianiu włościanom gruntów koronnych. — „Kułak“ pozostał zwycięzcą. — Przygoda korespondenta *Gazety Polskiej*. — Tfu, do stu djabłów! — Bezbożne wyznanie. — Potrzeba *Światła*. — Bezwładność piorunów *Przegl. Katolickiego*. — Rada ks. Mizińskiego. — Pęknięty kocieł i jego ofiary. — Kto za nie płacić będzie. — P. Konopnicka „na fujarce.“

Przed kilku dniami w gazetach warszawskich spotkałem następujący telegram z Petersburga: „Urzędowe. Ogłoszony został okólnik ministra dóbr państwa, polecający, aby w celu podniesienia gospodarstw włościańskich dotychczasową praktyką wydzierżawianie ziem koronnych postronnym (?) kapitalistom *znieść*, a zaprowadzić wydzierżawianie owych gruntów włościanom.“ Jakkolwiek wiadomość ta dotyczyła głównie Cesarstwa, gdzie tak zwani „Kułaki“ są jedynymi zwycięzcami na licytacyach i dzierżawcami ziem koronnych, ponieważ jednak oddziaływałaby również i na Królestwo, gdzie istnieje masa drobnych, dwulub trzymorgowych włościan w sąsiedztwie gruntów rządowych, powitałem ją radośnie. I już miałem podzielić się z czytelnikami długim pasmem uwag w tym przedmiocie, gdy nagle odbieram gazety rosyjskie i przekonywam się, że tyle w tej wiadomości było prawdy, ile—za pozwoleniem—w „krytyce“ czy „tendencyjności“ p. Goraja. Okólnik bowiem ministra wcale nie „*znosi*“ dotychczasowej praktyki wydzierżawiania ziem koronnych“ i nie zapewnia przywileju włościanom, ale ich dopuszcza do współzawodnictwa z „Kułakami;“ poleca, aby warunki licytacyi były ogłaszane nietylko po miastach, lecz również po gminach i parafiach. Sprawa ta więc jest dopiero zaczęta, nie zaś skończona, a byłaby taką wtedy jedynie, gdyby — jak radzą gazety rosyjskie — zniesiono licytacye, rozdrobiono grunta rządowe na małe udziałki i wypuszczono je w dzierżawę włościanom po cenach ustanowionych. Tymczasem „kułak“ sp. spekulant pozostanie panem placu, nietylko przez zręczność, ale i przez pieniądze. Kto chce działać dla dobra ludu, powinien pamiętać, że on jest biedny i głupi. Tylko prawa, uwzględniające oba te warunki, mogą mu przynieść korzyść.

Nie sądźcie jednak, ażeby tak łatwa była sprawa z naszą arystokracyą, która jest o tyle wyższą od ludu, że posiada przynajmniej pieniądze. Ciekawy na to dowód przytacza korespondent *Gazety Polskiej*, który nie mógł pojąć, na co istnieją faktorzy i nareszcie zrozumiał, że bez nich naruszyłaby się równowaga świata. „Rok temu — powiada on — zimą potrzebowałem kupić kilka tysięcy korcy owsa, żydkowie przewąchawszy o tem, ze wszech stron ściągali się, proponując mi swe usługi. Jeden z nich bardziej naiwny, a może lepiej znający nasze obywatelstwo, robi mi taką propozycyę: u hr. K. z K.-K. jest do sprzedania parę tysięcy korcy owsa, on je kupi i za pewną zapłatę odstąpi kontrakt. Myślę sobie, na co mam płacić ów haracz, czyż nie lepiej osobiście się porozumieć? Zbywam więc żydka niczem, siadam i jadę. Przyjeżdżam, wchodzę do przedpokoju, pytam:

— Jest pan hrabia w domu?

— Jest.

— Mogę się widzieć?

— Przepraszam, a pan... tego...

— Jestem stąd i stąd (firma wielce znana), w takim a takim interesie.

— Zaraz.

— Czekam. Po chwili wychodzi lokaj.

— Pan hrabia nie zdrów (a wiem że był zdrów)... ale za owies... taka a taka cena.

— No, ale chciałbym przynajmniej widzieć choć owies?

— A, zaraz.

Pobiegł znowu. Czekam więc w hrabiowskim przedpokoju, przyozdobionym po ścianach ostentacyjnie, by szanowny interesant nie był czasem w wątpliwości gdzie się znajduje, w oprawne w porządne drewniane ramy za szkłem, kolorowane stereotypowe ryciny, z jakiegoś francuskiego *Journal des Modes*, najrozmaitszych krojów ubrań lokajskich. Nakoniec przyniesiono próbki; rozpatrzywszy je, powiadam:

— To trochę za wysoka cena, ale mogę proponować taką.

— Zapytam pana hrabiego.

— Pobiegł; czekam znowu mając na widoku przedewszystkiem interes.

— Pan hrabia nie może ustąpić z ceny.

— Dobrze, dajmy na to, że się zgadzam na nią, ale trzeba z kimś pomówić o warunkach.

— Jakież tu warunki....

— Tfu, do stu dyabłów!... plunąłem i wyszedłem; trudnoż było pomimo nawet najdemokratyczniejszych pojęć kilkotysięczny interes załatwiać przez fagasa; a trzeba dodać, że ów pan hrabia — człowiek młody! Od tego czasu zarzekłem się unikać pośrednictwa żydków. Najmocniej jestem przekonany, że ów pan hrabia sprzedał ten sam owies żydom za daleko niższą cenę, niż mu proponowałem, albowiem ci, przeszedłszy pół dziedzińca bez czapki, przysiągłszy na wszystkie możebne tempa, że cena na owies spadła, pozwoliwszy siebie złajać i parę razy za drzwi wypchnąć, w końcu zapłacili, co sami chcieli.“ Taki despekt spotkał p. B., który chciał bez dziewosłębów zakonkurować do hrabiowskiego... owsa, i który przekonał się, że pogardzani żydkowie nie są tak bezpożytecznem plugastwem, jakby się napozór zdawało. Są to swatowie, kojarzący związki małżeńskie między nizkiego pochodzenia narodem a wysoko urodzoną arystokracyą. Bez nich związki te nigdyby się nawet luźnie nie zczepiły, a każdy plebejusz, odważywszy się na ominięcie tego pośrednictwa, predzej czy później musi zawołać: Tfu, do stu djabłów! To też Bóg wiedział, na co stworzył i w Polsce gęsto posiał żydków. Jest to nasz cement społeczny, nasze wiązania warstw niższych z wyższą. Gdyby tego cementu nagle zabrakło, zniklyby mosty, zawieszone nad przepaściami i prowadzące z dołu do góry. Wtedy wyrosłaby śród naszych kłopotów nowa, dotąd, dzięki żydom bez czapki na podwórzu stojącym zażegnywana kwestya „pogodzenia,“ daleko trudniejsza, niż wszystkie „primirenia.“ Czując to, nie wypędzajmy dzieci Izraela, bo może przyjść taka chwila, że panowie hrabiowie nie sprzedadzą nam korca owsa, a jedyną pociechą w tem strapieniu będzie tylko: Tfu, do djabła! (Co za pyszny epigraf dla *Złotej księgi* naszych panów!).

Do prześladowania tego pożytecznego gatunku „wielce się przyczynia — według tegoż korespondenta — nasza religia.“ Bezbożny ten człowiek, który jednym zamachem „ubezwyznaniowił“ *Gazetę Polską*, i któremu sławetny p. Goraj, dla odzyskania wiary, pewnie każe czytać Heinego, powiada: „Kto zechce sobie przypomnieć dziecinne lata, gdy z całem przejęciem się młodocianego umysłu uczył się historyi świętej, gdy mu przed dziecinną wyobraźnią przesuwały się owe straszne, pełne grozy obrazy krwawej męki niewinnego Boga-Człowieka, gdy zdaje się słyszał krzyki rozjuszonej tłuszczy żydowskiej: „ukrzyżuj Go, ukrzyżuj!“ z jakąż nienawiścią poglądał wówczas na każdego żyda, wstępującego w jego rodzinne progi, z jakąż rozkoszą wpiłby się swemi drobnemi rączętami w jego długą brodę i pastwiłby się nad tym zabójcą i dręczycielem, kogo?... Syna Bożego! Czyż ta nienawiść, zapadłszy w głąb dziecinnego serduszka, później w życiu przy pierwszej lepszej sposobności, których, niestety, żydzi aż zanadto nam w biegu jego nasuwają, nie zbudzi się, tylko może w innej formie? Czem zresztą innem można objaśnić ów ongi wieczny an-

tagonizm i nieraz bójki uliczne między uczniami wszelkich szkół, a żydkami miasteczkowymi? A dodajmy tu w nawiasie, że lud prosty jest tem dzieckiem, owym uczniem szkolnym."

Przytoczyłem ten ustęp nie dla tego, ażebym go uważał za klasyczny, ale dlatego, ażeby przekonać, że *Światło*, które w naszej prasie zapalić się miało, a które, jak zapewnia w *Echu* ks. A. H. Jakubowski, pono nigdy nam nie zabłyśnie, miałoby dużo do roboty „z inteligencyą świecką." Mieszkam w Warszawie, zajmuję się literaturą humorystyczną, czytuję kuryery, a nic nie wiedziałem o niebezpieczeństwie, jakie groziło bezbożnikom ze strony pewnego „kółka" duchownych. „Kółko" to, widząc, że *Przegląd Katolicki* jest organem księży, że go nikt nie czyta, że pisma bezbożne „nic a nic" sobie z niego nie robią, że „przeciwników raczej ośmiela, niż powstrzymuje," słowem, że „nawet śmiertelne jego cięcia ranią tylko powietrze" —postanowiło założyć drugi tygodnik religijny „dla inteligencyi świeckiej," któryby „mógł skutecznie (!) prowadzić przykrą, ale jak dziś nieuniknioną polemikę z pismami antireligijnemi." *Przegląd Katolicki*, mimo wszelkich „wysiłków gorliwości i nauki," mimo stałej prenumeraty Paprockiego, dziada z pod S-go Krzyża, który w tych dniach zmarł, pozostawiwszy kilka tysięcy rubli (tak mu Bóg za ten abonament pobłogosławił), mimo to szan. ów organ nie zdołał dotąd wcisnąć się do miejsc publicznych, jak: do cukierni, kawiarni i stacyi kolei żelaznych;" otóż *Światło* miało nadzieję opanować te posterunki i leżąc na jednych stolikach z pismami antireligijnemi, odbijać im kundmanów. Wierzę mocno, że z walki tej wyszłoby zwycięsko, zwłaszcza gdyby obok *Światła* stały koszyczki z truskawkami i paczki pierników w nagrodę każdemu, kto zechce się oświecić „pod względem apologetycznym." Przynęty te byłyby zbyteczne jedynie na stacyach kolei żelaznych, gdzie często brak papieru dla zawinięcia buterszniów w drogę, i gdzie podróżny, znudzony czekaniem na pociąg, odczytuje nieraz dla zabicia czasu nawet trzydziesty piąty ciąg artykułu o żydach w *Dzienniku Warszawskim*. Niezależnie od tych wielkich usług, jakie *Światło* oddaćby mogło, zacnej pamięci kanonik Miziński, który bisk. Baranowskiemu pisywał rozumne listy pasterskie, zachęcające księży do porzucenia gospodyń, a zajęcia się sadzeniem ogródków po wsiach, powiedziałby owemu „kółku:"

— Dajcie wy pokój „względom apologetycznym" i „inteligencyi świeckiej," a pomyślcie lepiej o ciemnocie ludu i jego nędzy.

No, ale nieuznanie jest losem wszystkich wielkich idej!

Przeczytawszy poroniony prospekt *Światła*, jestem pewien, że jego redakcya, zajęta „względami apologetycznemi," nie będzie miała czasu otrzeć łez niedoli, której sprawcą był kocieł rozerwany w fabryce stolarskiej K. Simmlera na ulicy Smolnej. Tam apologetów naszych nie ma — przejdźmy więc do samego wypadku. Niedawno, mówiąc w *Prawdzie* (Nr. 26) o ubezpieczeniu robotników, zamierzonem przez ks. Bismarka, użyliśmy następującego przykładu: „Jeżeli w fabryce pęknie kocieł, to koszta naprawy lub kupienia nowego ponosi fabrykant. Czemuż więc ma on być wolnym od tych kosztów, gdy skaleczonym zostanie robotnik? Nadto, ponieważ społeczeństwo korzysta z owoców pewnej produkcyi, musi również przyjmować udział w jej niebezpieczeństwach." Autor pisząc te uwagi, nie przeczuwał, że życie tak szybko je potwierdzi na naszym własnym gruncie, i że postawi przed nami kwestyę ubezpieczenia robotników, która w zwykłym biegu rzeczy interesuje nas tyle, co kłopoty japońskiego Mikada. Wreszcie (już drugi raz w tym roku) kocieł pękł, zabił trzech ludzi, zranił dwu, a wyleciawszy w powietrze, padł aż na drugiej ulicy. Wybuch był tak straszny, że jednego robotnika rozerwał na kawały, innego zarzucił aż na drzewo. Odezwały się już podejrzenia, że przyczyną katastrofy był niedozór i zużycie się kotła. Kwestyę tę, niewątpliwie ważną, pozostawiamy do rozstrzygnięcia sądowi, nas zajmuje tylko pytanie: kto wynagrodzi rodzinom śmierć zabitych lub pokaleczonych? Czy cały ciężar tego nieszczęścia mają ponieść one same? Czy p. Simmler jest obowiązany tylko do sprawienia nowego kotła, a my do podziwiania siły wybuchowej starego? Sądzę, że nie, że powinna być wypłacona sierotom dobrowolna asekuracya, w której udział przyjąć musi zarówno p. Simmler, jak i społeczeństwo. Kto zakłada fabrykę, winien być materyalnie odpowiedzialnym nietylko za szkody przedmiotów martwych, ale i ludzi; kto korzysta z pracy, winien podzielać jej niebezpieczeństwa. Gdyśmy p. Simmlerowi zapłacili za posadzki, nie jesteśmy jeszcze pokwitowani z obowiązku ratowania jego robotników. Tymczasem zaś, wy wszyscy, którym myśl o niedoli nizin społecznych nie zakłóca nigdy pogody życia, i którzy gotowi jesteście płakać nad grobem podkomitetu teatralnego, idźcie na miejsce wypadku i przypatrzcie się jego strasznej grozie.

Idź także i ty, natchniona wieszczko, która umiesz tak pięknie wyśpiewywać skargę łez ludzkich, a może wylejesz z duszy swojej tak cudowne tony, jak te, które z prostej „fujarki" wydobyłaś w *Tygodniku Ilustrowanym*.

A czemuż wy, chłodne rosy,
Padacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy
Głód w chacie?
Czy nie dosyć, że człek płacze
Na ziemi;
Co ta nocka sypie łzami
Srebrnemi?

. . . .

Oj, żebym ja poszedł ino
Przez pole,
I policzył łzy, co płyną
Na rolę...
Strachby było z tego siewu
Żąć żniwo,
Boby snopy były krwawe
Na dziwo!

. . . .

Gdybym o tych zwrotkach pieśni p. Konopnickiej powiedział, że to są brylanty lub perły, słowa te zabrzęczałyby dźwiękiem pochwalnego liczmanu. Powiem zatem tylko, że pragnąłbym tak umieć grać „na fujarce," a gdy nie umiem — pragnąłbym przynajmniej nieraz ją w życiu słyszeć.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

I znowu pożary. Takeśmy się już oswoili z tą klęską, że najjaskrawsze wiadomości o świeżych jej ciosach przyjmujemy za gorzki chleb powszedni. Różne strony Królestwa i Cesarstwa dostarczają smutnych szczegółów do kroniki zniszczenia; ale nad wschodniemi okolicami łuny częściej niż na zachodzie płoną; dość przytoczyć: Mińsk, Augustów, Łuków, Józefów, Hrubieszów, Horodło. W korespondencyach prowincyonalnych, przepełnionych opisami wypadków i strat, jakie zrządziła pożoga, natrafiamy czasem na obrazki, którym niepodobna odmówić poetyczności krasy — tragicznego lub przynajmniej melodramatycznego efektu: w powiecie np. miechowskim, w wiosce Poręba Górna — dwudziestoletnia dziewczyna podpala stodołę, szukając śmierci pod gorejącą strzechą; w Horodle znowu jakiś okoliczny ziemianin, wjechawszy nocą do miasta, pierwszy spostrzega niebezpieczeństwo, odbija drzwi zagrożonego domu, i wydziera z objęć śmierci dwoje staruszków wraz z małoletnią ich wnuczką. Są to zaprawdę zdarzenia, godne pędzla i pióra natchnionego; pożądaną jednak byłoby rzeczą, aby cywilizacya ograniczyła w rzeczywistości do minimum to ciemne źródło uroków artystycznych, aby podobnym niespodziankom zapobiegła zczasem czujność prozaicznej straży i rychła obrona. Z innych miejsc Królestwa dochodzą nas sprawozdania, które jużto poważnie, już humorystycznie skarżą się na stare niedołęstwo i zardzewiałe sprężyny machiny społecznej, opóźniające ratunek w nieszczęściu. Taki np. charakter nosi na sobie, drukowana niedawno w *Kuryerze Codziennym*, kulawa pod względem formy językowej, korespondencya z Łukowa, oraz pomieszczony w 198 numerze *Nowin*, list przejeżdżającego podczas pożaru przez Piotrków „topornika z Pułtuska." Tu jak i na wszystkich ścieżynach postępu, brak nam nadewszystko solidarności i wytrwania, brak przejęcia się ideą ładu i rozwoju organicznego.

W Radomskim, jak słychać, majątki ziemskie przechodzą coraz częście w posiadanie kolonistów niemieckich, ulegają parcelacyi i stopniowemu wyniszczeniu; a obywatele rozbici na drobne kółka, szkodzą sobie wzajemnie, zapominając o jasnej, jak dzień, prawdzie, że „gromada to wielki człowiek." Pociesz się wszakże, zapadła prowincyo, nie ty jedna wyznajesz starą zasadę: „homo homini lupus:" jest to zjawisko odwieczne, typowe, polskie... Z czasem będzie może lepiej... Narody dojrzewają: nie jesteśmy już tem, czem byli nasi praojcowie za Wazów lub Sasów. Wobec braku między nami ściślejszych ogniw i węzłów, odznaczać troskliwie i cenić wypada każde rzucone na nieurodzajną niwę nasienie lepszej przyszłości. Przed miesiącem zjechało do Sieradza liczne grono byłych kolegów szkolnych, którzy w r. 1866 pożegnali się z patentami w ręku za progiem tamecznego gimnazyum. Było to wykonanie praktykowanego oddawna między młodzieżą ślubu. Sam zjazd, jako forma, nie przedstawia żadnych wybitnych znamion: jest tylko oryginalną, dość kosztowną, choć pouczającą zabawą, aktem teatralnym, który nie wywiera zazwyczaj żadnego wpływu na losy spółbiesiadników. Można jednak tę formę ożywić, można jej nadać wartość rzeczywistego odnowienia koleżeńskiej spójni, opierając się nie na sprowadzeniu do jednego poziomu różnych dróg zawodowych, nie na sztucznem budzeniu lub niwelacyi talentów, ale na wspomnieniach młodości i tych łącznikach, które członków danego społeczeństwa w jedno ciało splatają. Sieradzanie, współuczniowie z r. 1866, jeśli nas wieści nie mylą, przynajmniej w pewnej mierze dokonali tego cudu. Ich utrwalony związek koleżeński posiadać będzie swe moralne i materyalne ognisko, swą kasę pożyczkową, obok widoków przyszłości w odnawianych peryodycznie zjazdach. Niech solidarność wychowańców jednego zakładu innym za wzór służy. Złota nić wspólnych interesów społecznych, rozsnuta do godziwej a dozwolonej przez rząd, granicy, pozwoli nam odczuć silniej i zrozumieć całą doniosłość hasel, jakie podnoszą: p. Gers, redaktor *Gazety leckiej*, pisanej dla mazurów pruskich, i p. Parczewski, adwokat z Kalisza, pilny choć nieszczęśliwy obrońca bytu etnologicznego pokrewnych nam łużyczan. Dzisiaj, dalecy jeszcze od tego wysokiego szczebla w rozwoju uczuć obywatelskich, cieszmy się mieniem jakie posiadamy: średniowieczną bezprzemysłowością i opieką *magidów* w najgłębszej prowincyi, wędrowną Melpomeną i obywatelską strażą bezpieczeństwa u ognisk średniego tonu, hipnotyzmem

wreszcie i źle zamaskowaną „tendencyjnością“ pod papierowym dachem nadwiślańskiej naszej świątyni.

Żniwa się już rozpoczęły. Rolnicy jaśniej spoglądają w przyszłość; zakłóca im jednak piękne sny pojawiający miejscami chrząszczyk, i niepokoi karbunkuł, który na Powiślu corocznie podobno przetrzebia dobytek.

A—m.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 27 lipca.

Na porządku dziennym w polityce stoi ciągle jeszcze kwestya przymierzy, o której wzmiankowaliśmy już w poprzednim przeglądzie. Dzienniki są niezmordowane w dyktowaniu gabinetom dyplomatycznym nowych związków, nowych podziałów terytoryalnych. W znacznej mierze przypisać można te trudy dziennikarskie potrzebie załatania braku wiadomości faktycznych, w każdym razie jednak niepodobna nie zwrócić na nie uwagi, choćby wobec tej pewności, że jeśli w tej chwili niewiele się w polityce międzynarodowej dzieje, to niezaprzeczenie wiele się przygotowuje. Dzienniki tedy angielskie urozmaiciły znane nam już kombinacye przymierzowe wprowadzeniem na scenę Rosyi. Z powodu pobytu w Paryżu znanego z wojen tureckiej i tekinskiej generała Skobielewa, donoszą one, że generał przybył do stolicy francuskiej w misyi politycznej, mianowicie, aby zaofiarować Francyi przymierze rosyjskie. Wiadomość podobna pojawiła się była już poprzednio w prasie niemieckiej, z tym dodatkiem, że posłannictwo Skobielewa nie odniosło pożądanego rezultatu. Otóż obecnie *Morning Post* prostuje to doniesienie. Wedle londyńskiego dziennika, pogłoska o bezowocności propozycyi rosyjskiej powstała stąd, że sądzono, jakoby gabinet petersburski chciał nakłonić Francyę do przymierza, skierowanego przeciw Niemcom, a wiadomo jest dokładnie, że rząd paryski dziś nawet pod rozwagę by nie wziął planu mającego na celu działanie przeciw Niemcom. Rosya jednak bynajmniej takiego planu nie podsuwała. Generał Skobielew miał za zadanie tylko zapewnić gabinet paryski, iż Rosya względem operacyj francuskich w Afryce usposobioną jest jaknajżyczliwiej, a ewentualnie i dalsza akcya rzeczypospolitej, zmierzająca do ugruntowania wpływu i zabezpieczenia interesów Francyi w Syryi i Azyi Mniejszej, na opozycyę Cesarza Rosyi nie natrafi. Chodzi tu więc o porozumienie się co do spraw pozaeuropejskich, względem których i ks. Bismarck zachowuje się dla interesów francuskich i rosyjskich życzliwie, bo mu w drogę nie wchodzą. Rezultatem tego porozumienia — zawsze według *Morning Post* — byłoby znakomite ułatwienie Francyi jej działania w krajach śródziemno-morskich Afryki i Azyi, któreby postawiło Anglię w położenie nadzwyczaj trudne. Włochom obiecują Trypolis, Rosya wzięłaby Armenię, Austrya „wynagrodzenie“ na półwyspie Bałkańskim, Niemcy zaś za „uczciwe meklerstwo“ zagarnęłyby wybrzeże morza Północnego. Królowa mórz, Anglia, ma być wykluczoną zupełnie z tego „koncertu“ mocarstw stałego lądu.

Na dniu 21 sierpnia mają być rozpisane wybory powszechne we Francyi, pod warunkiem, że Izby ukończą swoje prace przed końcem lipca. Czy to nastąpi, dotąd niewiadomo, jakkolwiek obrady nad budżetem w Senacie są na ukończeniu. Nowe starcie wynikło między obu Izbami z powodu ustawy o obowiązkowem nauczaniu. Izba deputowanych bowiem nie przyjęła poprawek, poczynionych przez Senat. Zdaje się jednak, że to na przedłużenie obrad nie wpłynie.

W Niemczech o terminie wyborów nic jeszcze niewiadomo. Rząd kryje się z zamiarami swemi w tym względzie. Na liberalizm zaś tak się ks. Bismarck rozgniewał, że jego organ wymyśla nawet austryackim „niemcom liberalnym,“ z powodu ich zachowania się w walce z czechami. *Welch eine Wendung!* możnaby zawołać.

Z Londynu rozesłano w tych dniach telegrafem interesującą wiadomość, że rządy: Anglii, Austryi i Holandyi, przygotowały notę do gabinetu petersburskiego w kwestyi praw wyjątkowych co do żydów, jakie istnieją w Rosyi. Wezwano inne mocarstwa do podpisania tej noty. *Agence Russe* objaśnia, że w Petersburgu dotychczas nic o podobnym akcie niewiadomo.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. W Paryżu ogłoszono zbieranie składek po całym świecie na pomnik dla uczczenia geniuszu Wiktora Hugo.

— W Londynie odbył się międzynarodowy kongres powszechny rewolucyonistów.

— W skutek ostatnich upałów, w Stanach Zjednoczonych Ameryki było około 300 wypadków słonecznego porażenia ludzi; kilkadziesiąt w Europie.

— Dochód z telegrafów w Państwie Rosyjskiem w r. 1880 wynosił 7,696,661 rs. i był o 9% większy niż w r. poprzednim.

— W tych dniach zmarł w Warszawie żebrak, nazwiskiem Paprocki, który uzbierał znaczny majątek: gotówki zostało po nim przeszło 4,000 rs. oprócz papierów procentowych i kosztowności.

— Kasa pożyczkowa dla rzemieślników warszawskich pomieszczoną została przy ulicy Podwale.

Nauka. Stopień doktora nauk przyrodniczych otrzymały dwie młode kobiety we wszechnicy rzymskiej.

— W Londynie rozpoczął posiedzenia kongres homeopatów.

— W Anglii w d. 16 lipca r. b. upał doszedł do 98° Fahrenheita w cieniu.

— P. Wild, dyrektor głównego obserwatoryum fizycznego wybrany, został na przedstawiciela Rosyi na kongresie meteorologicznym.

— Towarzystwo mineralogiczne rosyjskie wyznaczyło rs. 500 nagrody za napisanie najlepszego dzieła z dziedziny mineralogii.

— 22 lipca obserwowano w Chamonnix i Bernie w Szwajcaryi faliste trzęsienia ziemi.

— W Petersburgu zawiązało się towarzystwo telefoniczne.

Przemysł i handel. Gmach banku Towarzystwa Kredytowego w Kownie spalił się do szczętu. Dokumenty, kasy i weksle uratowano.

— Rząd austryacki udzielił ks. Sapieże i Spółce pozwolenie na budowę kolei z Jarosławia do Sokola.

— Wydział krajowy Galicyi ogłosił konkurs na dzieło o wytworze nafty i zużytkowaniu jej produktów ubocznych.

— Towarzystwo francusko-włoskie kopalń węgla w Dąbrowie założyło dla swych robotników kasę zjednoczoną, rozszerzyło miejscową szkołę elementarną i urządziło obszerny park na wytchnienie po mozolnej pracy.

— 25 lipca r. b. w Warszawie przy ulicy Smolnej w fabryce stolarskiej Simlera wyleciał w powietrze kocioł parowy i przebiegłszy przez ulicę i kamienicę 3-piętrową spadł w Alei Jerozolimskiej. Zabitych 3 ludzi, rannych 2.

— Komisya Towarzystwa technicznego rosyjs. wypracowała referat co do wprowadzenia w Państwie Rosyjskiem systemu miar dziesiętnych.

— Wystawę warszawską dzieł sztuki zastosowanej do przemysłu odwiedziło 18,000 osób.

— P. Bloch został ponownie obrany prezesem kolei połud. zach. rosyjskich.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Januaremu M. w Niemirowie. Wskutek reklamacyi p. B L. komplet wysłaliśmy Panu ponownie; musi on się znajdować już w ręku Pana. Gdyby znowu nie doszedł, prosimy o doniesienie.

P. Wiktorowi B. w Warszawie. Zauważyliśmy i odpowiemy. Może masz Pan racyę, że te gromy sprowadziła na nas... *Pani Podkomorzyna.*

P. I. P w Krakowie. Odrębnych od *Prawdy* książek nie wydajemy.

Ks. G. Chm. w Lincinie. Administracya *Nowin* pomyłkę naprawiła i uprzejmie za nią przeprasza. Nr. 27 wysłaliśmy.

— *P. Br. St. w Szczawnicy.* — *P. Gl. w Petersburgu.* — *P. R. N. J. Łopusznie.* — *P. B. K. w Odessie.* — *P. Jaśk. w Lublinie.* — *P. Sz. w Mironowie.* — *P. K. M. A.* — *P. Al. Kosl. w Dolhobyczowie.* Wysłano.

Na pomnik Mickiewicza.

Od A. M. B. z Mejs. Burbiszek Poniewiezskich rs. 20 (przesłane do ogólnego funduszu *Tyg. Ilustrowanemu*).

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Іюля 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.